№ 9. Warszawa, dnia 15 (27) Lutego 1886 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA,

PRZEZ

Seweryn? Duchińską.

Obraz pana Andryollego. — Ustęp z poematu Pan Tadeusz.—Konferencya p. Savoignan de Brazza o Afryce środkowej.—Koncert w magazynie *Bon Marché*.—Urządzenie tegoż magazynu.

(Dalszy ciąg.)

W połowie Stycznia, Towarzystwo Jeograficzne przyjmowało z wielką uroczystością głośnego dziś w świecie podróżnika p. Savornian de Brazza. Postać to nadzwyczaj sympatyczna; jest on więcej niż zwykłym podróżnikiem; nie dość, że odkrywa ziemie i plemiona, nieznane dotąd wcale, jest-to zarazem wytrawny mąż stanu i biegły ekonomista. Rząd francuzki, wziął też prace tego eksploratora pod szczególną opiekę i wielką położył w nim ufność. Nie zawiódł jej Brazza, udarował on Francyą obszarem ziemi większym niż cała jej przestrzeń w Europie. Co zaś stanowi główną jego zasługę, wobec Francyi i całej ludzkości, to sposób, w jaki potrafił ustalić panowanie kraju swego, na tej ogromnej przestrzeni.

Dziesięć lat temu, Brazza, młody podówczas marynarz, zapuścił się poraz pierwszy w głąb Afryki środkowej. W tej pierwszej wyprawie zbadał i określił bieg rzeki Kongo, niedokładnie przed nim oznaczony na mapach i odkrył rzeki zasilające tę wielką arteryą. Wkrótce potem, inny podróżnik, Amerykanin Stanley, dotarł również do Kongo; ale ten z amerykańską energią począł traktować czarnych tubylców, chcąc orężem zmusić ich do uległości. Okrutne postępowanie Stanleja, ułatwiło tryumf francuzkiemu podróżnikowi.

Brazza powrócił do Francyi, a otrzymawszy zasiłek na nową wyprawę, przedsięwziął ją w 1879 roku.

Wówczas to odkrył na kotlinie Kongo, kraj żyzny, i ludny, zamieszkany wyłącznie przez murzynów: jest-to królestwo Makoko. Król tych czarnych znał już z posłuchu imię Brazzy od czasu pierwszej jego wyprawy. Oburzony na Stanleya, który w kilku utarczkach toczył krew biednych negrów, król Makoko postanowił osłonić się na przyszłość powagą chorągwi francuzkiej. Przysłał zatem do Brazzy przyjazne słowa, za pośrednictwem jednego z wodzów swoich.

— Król mój — rzekł czarny poseł — wie, że straszne wasze karabiny nie służyły nigdy do zaczepki, pragnąc też przyjaźni waszej, ofiaruje nawzajem przyjaźń swoją.

Brazza przyjął z radością te objawy, przyrzekł odwiedzić króla, jakoż udał się niezwłocznie do jego rezydencyi.

Mieszkanie królewskie, składa się z kilkunastu obszernych bud, otoczonych palisadą. Gdy słudzy ujrzeli zbliżającego się podróżnika, oznajmili mu, że król pragnie przyjąć go natychmiast, równie jak jego towarzyszów. Brazza przywdział mundur i wysłał tłomacza z oznajmieniem odwiedzin swoich.

Uderzono w dzwon: wrota rozwarły się szeroko. Słudzy rozesłali na ziemi wielki kobierzec, na nim lwią skórę, wezgłowia i makaty. Przynieśli też piękną misę miedzianą, roboty portugalskiej, liczącą zapewne do trzech wieków, na której Makoko miał oprzéć nogi; wreszcie zatknęli wielki, czerwony baldachim, po nad zaimprowizowanym tronem. Król nadszedł wreszcie, otoczony żonami; wielki kapłan poprzedzał go, pląsając. Przy królu szli starsi wodzowie, strój ich przypominał mundury francuzkie z czasów pierwszego cesarstwa.

Makoko zasiadł na tronie, wsparł się ramieniem o wezgłowie, plecyma o jedną z żon, siedzących tuż po za nim. Inne kobiety i dzieci, leżały na ziemi wkoło tronu, poczem kapłan przystąpił do króla z powagą, padł na kolana, złożył obie ręce w królewskie dłonie: powstał i w taki sam sposób ukorzył się przed Brazzą. Obecni wszyscy powtórzyli ten ceremoniał.

Król począł mówić, tłomacz powtarzał jego słowa: „Makoko szczęśliwy, że przyjmuje syna, wiel

kiego wodza białych na Zachodzie którego czyny nacechowane mądrością, przyjmują go pos.anowaniem. Pragnie też powiedzieć tym co go przysłali, że Makoko umie uczcić białych, którzy przychodzą do niego, nie z orężem, ale jako ludzie pokoju.

Brazza pozostał u króla dwadzieścia pięć dni. Makoko obchodził się z nim jakby z własnem dzieckiem, chciał go jeszcze dłużej zatrzymać. Co rano żona królewska przynosiła podróżnym żywność na dzień cały, wszyscy obsypywali ich datkami. Co dzień król wzywał do siebie Brazzę, wypytywał go z ciekawością, w jakim celu zwiedza Afrykę?

Znając białych, jedynie z handlu niewolnikami i z gwałtów Stanleya, zrazu im nie dowierzał. Ujęty przecież łagodnem obejściem Brazzy, rzekł do niego na krótko przed rozstaniem:

— Nie lękam się wojny, przekładam jednak pokój. Badałem dusze ojców i oni skłonili mnie do zgody. Zostaję więc przyjacielem tych, którzy wzbudzili we mnie ufność.

Umiał Brazza korzystać z tak dobrych usposobień. Zniewolony przezeń Makoko, zawarł z nim traktat, oddał państwo swoje pod opiekę Francyi, oddał nawet na własność skraj ziemi ponad brzegami Kongo.

Wszyscy wodzowie potwierdzili ten układ, na uroczystem zebraniu. Wsypali w skrzynkę garść ziemi. Kapłan na rozkaz króla, złożył ją w ręce Brazzy.

— Weź tę ziemię — rzekł król — zawieź ją wielkiemu wodzowi białych, niech mu przypomina że należymy do niego i my i ziemia nasza.

Brazza w odpowiedzi na to rozwinął trójkolorową chorągiem, zatknął ją przed domem królewskim.

— Oto — rzekł — znak przyjaźni naszej i opieki. To godło uosabia Francyą. Pod niem zapewnione wasze prawa i bezpieczeństwo.

Trudniej przyszły układy z butniejszem plemieniem Oubendi, ale i tych zniewolił Brazza w końcu, za wdaniem się króla Makoko. Wodzowie strojni jaskrawo, przybyli na umówioną schadzkę, flotyllą złożoną ze stu łódek (pirogów).

Słuchali milcząc głęboko, gdy Brazza upewniał ich, że nie myśli łamać pokoju i ofiarował im stałą przyjaźń, wówczas jeden z wodzów wystąpił naprzód i ukazał wysepkę na rzece.

— Patrz na ten pagórek — rzecze — on mówi do nas „baczność! strzeżcie się białych!" Tam Onbedzi toczyli krew pod strzałami jednego z wodzów waszych, co jak wicher biegł z pędem naszej rzeki. Biada mu! jeśli będzie śmiał tu powrócić!

Brazza uspokoił wzburzone ich umysły: pokój zawarty został.

Nastąpił wówczas pogrzeb wojny. W ziemi wywiercono wielką dziurę, wsypano w nią kule, strzały, proch; zasypano dół ziemią. W miejscu tem, posadzono drzewo.

— Pogrzebaliśmy wojnę — rzekł najstarszy wódz — a tak głęboko, że ani my, ani dzieci nasze, nie będą mogły jej wydobyć.

— I my też — odpowiedział Brazza — będziemy dla was szczerymi przyjaciołmi, dopóki na tym drzewie nie wyrosną kule i gruszki pełne prochu!

Wódz złożył wtedy w ręce Brazzy, pusty worek, z którego proch wysypał, otrzymał w zamian francuzki sztandar. Wszyscy wodzowie domagali się podobnego znaku, a otrzymawszy go pocierali nim o pierwszy. Niebawem sto łodzi pomknęło rzeką, trójbarwne flagi powiewały na słońcu.

Odtąd Brazza pilnuje wiernie sztandaru francuzkiego nad Kongo. Z niezmordowaną gorliwością rozsiewa ziarno cywilizacyi w pośród czarnych tubylców. W ciągu lat dziesięciu zebrał już wielkie plony, nie okupione ani jedną krwi kroplą. Szczerze ukochał on biednych murzynów i nawzajem zniewolił ich serca.

Opowiadają tu mnóstwo czynów, świadczących najchlubniej o uczuciach pełnych ludzkości, tego godnego następcy Liwingstona.

Przytaczamy z nich jeden. Brazza kupuje niewolników, ilekroć nadarzy się sposobność, a stawszy się ich panem, obdarza ich wolnością.

Przed kilku laty uwolnił kupionego murzyna.

— Panie komendancie — rzekł czarny — ja mam żonę, radbym się z nią połączyć.

Brazza jedzie o kilkanaście mil, kupuje biedną kobietę i przywozi ją mężowi.

— Drodzy moi — rzecze — jesteście wolni i połączeni razem, nic wam nie brakuje do szczęścia.

— Brakuje nam wiele — odrzekną małżonkowie — mamy czteroletnią córeczkę, wydarto nam dziecko i sprzedano!

Słyszy to Brazza, puszcza się w drogę, wykupuje dzieweczkę, przywozi ją rodzicom.

Wkrótce potem umiera ojciec na żółtą febrę, za mężem idzie żona. Jeśli sierotka zostanie bez opieki, wpadnie w ręce złych ludzi i znów będzie jak dawniej niewolnicą. Zacny Brazza, ogłasza się opiekunem, zawozi ją do siostr zakonnych w Gabon.

Dzieweczka rośnie pod ich okiem, otrzymuje staranne wychowanie. Obecnie jest w zakładzie nauczycielką, uczy małe dziatki, wyciągnięte jak ona z biedy i powierzone siostrom. Opiekun odwiedza ją czasami, pisuje do niej i odbiera jej listy. W tych właśnie czasach otrzymał w Paryżu z Gaben, prośbę o rękę wychowanki i zajął się gorliwie ustaleniem na przyszłość jej losu.

Postać Brazzy nadzwyczaj zajmująca. Młody jeszcze, nie ma bowiem lat czterdziestu, przedstawia się nierównie starszym. Cera jego ogorzała na afrykańskiem słońcu, z białej przemieniła się w miedzianą. Wśród bujnych włosów i brody czarnej jak krucze skrzydła, przebijają tu owdzie srebrne nitki. Zorane w brózdy czoło, świadczy o wielkich trudach, zniesionych z żelazną wytrwałością.

Publiczność z wielkim zapałem powitała słynnego podróżnika: do pięciu tysięcy osób zebrało się w cyrku zimowym, gdzie Brazza z niesłychaną prostotą, zdawał sprawę z podjętych prac i odniesionych tryumfów.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Z Tomasza Moore.

Smutek jak chmura rozpostarł swe cienie,
Na blaski twoich wiosennych lat,
Oh! zawcześnie ci zwarzyło cierpienie,
Świeżość chwil młodych, pięknych nieskończenie,
Nawet wśród żalu ponurych szat.

Czyliż czas zawsze zimnem skrzydłem swojem,
Z najdroższych wrażeń dobywa chłód?
Czyż zawsze zwątpień grozi niepokojem?
Więc pójdź... łzy moje zmieszam z twych łez zdrojem,
Ja wierzę jeszcze w przyjaźni cud!...

UMARŁA.

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Joanny Bełejowskiej.

(Dalszy ciąg.)

CZĘŚĆ DRUGA.

Opowiadanie.

Dziennik wicehrabiego Bernarda nie był skończony jak on mniemał, ale tylko przerwany; miał znów zacząć go pisać w chwili nader stanowczej, pod wrażeniem co najmniej dorównywającem temu, jakie pierwszym razem kazało mu wziąć pióro do ręki.

Przeciąg lat kilku oddziela te dwie części, czyli raczej dwa fragmenta dziennika wicehrabiego de Vandricourt; zapełnimy tę przestrzeń o ile się da, za pomocą papierów familijnych i osobistych naszych wspomnień.

Wyrządzilibyśmy krzywdę wicehrabiemu de Vandricourt, gdybyśmy uwierzyli w wierność obrazu, w jakim odmalował sam siebie w swoim dzienniku. Pomimo zajaskrawych barw i widocznej przesady malarza, czytelnik zdoła z łatwością wyróżnić prawdziwe podobieństwo i poznać, że w epoce zaznajomienia się z rodziną de Courteheuse: wicehrabia nie był bynajmniej rodzajem zarozumiałca i szydercy za jakiego się przedstawia. Musiał posiadać pewne zalety i przymioty, skoro mógł zwrócić uwagę i wywrzéć silne wrażenie na osobie z usposobieniem i charakterem panny de Courteheuse. Niewątpliwie, że jako kobietę, choć należącą do najwybrańszych z pośród płci swojej, uderzyłaby i pociągnęła Alietę, świetna powierzchowność, dystynkcya i wielkoświatowa salonowość wicehrabiego: ale najmniejszej także nie ulega wątpliwości, że gdyby powierzchownym tym zaletom nie towarzyszyły rzadkie gruntowne przymioty, pierwsza ciekawość kobieca prędko zamieniłaby się u niej w pogardliwą obojętność. Najpierw zajęła i zadziwiła ją prostota obejścia, jakiej nie spodziewała się spotkać u takiego tryumfatora salonowego. Gdyż ten młodzieniec tak niebezpieczny i w gruncie duszy często tak impertynencko lekceważący, przez jakąś bezwiedną zalotność, przybierał wśród świata obejście i wysłowienie nadzwyczaj uprzedzająco uprzejme, a nawet skromne, z łatwością naginającą się do usposobienia i humoru każdego, zarazem z tą niezrównaną słodyczą tak pełną uroku i świadomych swej siły. Nadto był to umysł ukształcony, któremu nic nie było obcem i gdy chciał, wszystkie ścianki jego połyskiwały nader powabnie. Dalej wszystko w nim

zdradzało duszę wzniosłą, szlachetną, zacną, nienawidzącą wszelkiej nieprawości, duszę prawdziwie wyższą. Ocalić taką duszę, przywieść ją do Boga, jakże to silna była pokusa dla tej młodej istoty tak gorącej wiary! Tak tłomaczyła i usprawiedliwiała sobie panna de Courteheuse uczucie, które więcej może pochwalało serce niż rozum. Dobrze zrozumiał to pan de Vandricourt, iż i czcigodny stryj Aliety, podobnie tłomaczył sam przed sobą słabość swoją dla ukochanej synowicy. Byli oni oboje, jak to przyznał biskup, trochę nadto egzaltowani i skłonni do uniesień, a któż z nas nie znał w obecnym czasie i to pomiędzy najświętobliwszymi z kapłanów, tych ludzi z gorącem sercem i ognistą duszą! Niech ich gani kto chce, co do nas, cenimy i schylamy czoło przed zapałem, choćby zdawał się na błędną zstępować drogę... Nie ku tej, niestety! drodze świat się pochyla.

I.

Ślub pana de Vandricourt z panną de Courteheuse, odbył się w pierwszych dniach Stycznia, następnego roku. Kilka tygodni zajęło urządzenie się młodego małżeństwa w ładnym pałacyku w dzielnicy Monceaux, poczem państwo Vandricourt wyjechali do Włoch. Łatwa do przewidzenia okoliczność, nakłoniła ich do skrócenia podróży i w końcu Kwietnia powrócili do Paryża. I właściwie wtedy dopiero rozpoczęła się dla nich próba wspólnego pożycia.

Rzadko się zdarza, aby kobieta nie była prawie szczęśliwa w pierwszych czasach swego zamążpójścia, chyba że natrafi na potwora, co zawsze stanowi wyjątek; a jeźli jeszcze, jak pani de Vandricourt, w parę miesięcy po ślubie ma nadzieję zostać matką, wtedy wszelkie trudności mogące zachodzić w pożyciu, szczęśliwej podlegają zwłoce. Nowy ten węzeł, jaki przyzwyczajenie rozluźni później, ale będący wtedy jeszcze w całej swej sile, krępuje delikatność męża, zniewalając go do częstszego przesiadywania z żoną. Nadto jest-to tak dla ojca jak dla matki gotowy, łatwy, niewyczerpany przedmiot rozmowy, prawie jednakowo zajmujący oboje. Nadto, jeźli jak się to zdarza niekiedy, w sercu męża pozostał jakiś żal za uprzedniem jego życiem, jeźli czy to w klubie, czy w buduarach lub gdziekolwiek pozostawił nawyknienia czy wspomnienia ku którym myśl jego tęsknie się zwraca, to taki czeka cierpliwie, mówiąc, że obecne położenie jest tylko przejściowem i że co się odwlecze, to nie uciecze. Tym sposobem wszystko idzie dobrze; żona jest zadowolona, wierząc, że zawsze tak będzie, mąż znowu dlatego, że żywi sprzeczne przekonanie.

Jednak i ten pierwszy szczęśliwy okres małżeńskiego pożycia, nie przeszedł bez pewnej goryczy dla pani de Vandricourt. Wiedziała, że tak Bernard, jak stryj jego pragnąc przechowania rodowego nazwiska, nadzwyczaj życzyli sobie syna, atu z wielkiem swojem zmartwieniem wydała na świat córkę, wprawdzie śliczniutką, ale zawsze tylko córkę. Ze łzami błagała męża o przebaczenie: pan de Vandricourt pocieszał ją i uspokajał ze zwykłym sobie wdziękiem, dodając wesoło, że pomyłka ta da się naprawić innym razem.

Z powodu zakazu doktora, pani de Vandricourt nie mogła sama karmić córeczki, ale oddała się jej wyłącznie, otaczając najtroskliwszemi staraniami, z właściwem jej poczuciem obowiązku i nieograniczonem przywiązaniem. Zaraz w początkach, córeczka ta nastręczała jej dostateczny pozór usprawiedliwiający odmowy zaproszeń do salonów paryzkich, w których zamążpójście jej za tak świetnego i tak poszukiwanego wicehrabiego de Vandricourt, zapewniało jej wielkie powodzenie, jakkolwiek wywołane raczej ciekawością niż współczuciem. Nadto okoliczność ta ułatwiała jej wprowadzenie w wykonanie planu życia, ułożonego zgodnie z radami stryja, a w którem uciechy światowe bardzo małe zajmować miały miejsce. Jakkolwiek tak J. E. biskup de Courteheuse jakoteż i synowica jego nigdy stale nie mieszkali w Paryżu i tylko kilka razy bawili w nim czasowo, jednak oboje mieli zbyt rozwinięty i zbyt badawczy umysł, aby nie pochwycić i nie ocenić dość wiernie cech i natury jego wielkoświatowego życia. W tem ocenieniu swojem, nie rządzili się przecież ani podejrzliwem uprzedzeniem ducha dewocyi, ani przesadną skromnością prowincyonalną; cechowała je raczej zbytnia może naiwność, pojmowali tylko, że różnorodność i mnogość zabaw i uciech, musiały wywoływać zbytnie rozrzucenie i bezmyślność, nie dające się pogodzić z ich poważnemi pojęciami o życiu i jego obowiązkach. Pani de Vandricourt obdarzona niezwykłym darem spostrzegawczym, im więcej wnikała w istotę życia paryzkiego, tem silniej przekonywała się, że nie sam nadmiar i rozmaitość jego zabaw i rozkoszy, ale głównie ich rodzaj nie zgadzał się zupełnie z jej wychowaniem i osobistemi uczuciami. W owej epoce jej życia było to zaledwie jakieś niewyraźne widzenie i nieokreślone pojęcie rzeczy nieznanych i przykrych, wystarczało to jednak do ściślejszego zamknięcia się w programie, jaki sobie zakreśliła, nietylko dlatego, że odpowiadał jej usposobieniu, ale że uważała go za najodpowiedniejszy celowi, będącemu najdroższem jej pragnieniem, nawrócenia jej męża.

Tak rady i przestrogi stryja jak własne jej natchnienie, ostrzegały ją o niebezpieczeństwie prób bezpośredniego oddziaływania na umysł Bernarda w celu jego nawrócenia. „Nauczaj go przykładem, mówił rozumny kapłan. Nie rozpoczynaj nigdy z mężem rozpraw religijnych, nie czyń mu żadnych wyrzutów, napomnień ani przymówek, nudziłoby go to i odstręczało. Daj mu tylko zakosztować słodyczy chrześciańskiego domowego ogniska, w pośród bezładu rozprzężonego życia światowego; niech cię pozna, oceni, kocha i błogosławi, aby kiedyś poznał, kochał i błogosławił Boga, który cię uczynił taką jak jesteś.”

Oddawszy utrudzające obowiązkowe wizyty, pod pozorem powinności macierzyńskich, pani de Vandricourt zamknęła się w małem kółku krewnych i najbliższych przyjaciół męża. O ile mogła najmniej wychodziła z domu, starając się zdobić go wszelkiemi swemi przymiotami i zaletami dobrej gospodyni, oraz wytwornym gustem ukształconej kobiety. Salon jej i buduar, pełne zieleni i kwiatów, tchnęły jakimś tajemniczym urokiem miłego, poufnego ustronia. Trzeba przyznać, że w tych miłych i umiejętnych kombinacyach, nad których udoskonaleniem codziennie całe spędzała godziny, musiała odstąpić bardzo od surowego stylu Ludwika XIV. Ale przedewszystkiem szło o to, aby podobać się swemu panu i władzcy i zastosować się do jego upodobań i słabostek. Jako wynagrodzenie za te ustępstwa, Alieta jeden ze swych salonów zamieniła w bibliotekę i tam, między rzymskiemi popiersiami, umieściła z poszanowaniem pozostałe po ojcu książki, przewiezione w Varaville. Marzyła o tem, że często odczytywać będzie te stare ulubione ksiażki, ze swym młodym, ukochanym mężem.

Nie potrzebujemy dodawać, że pokoje stanowiące apartament pana de Vandricourt, nastręczały mu nieustanną niespodzianki, dowodzące troskliwej staranności, jaką niemylnie nie służbie swe zawdzięczał. Nadzwyczaj staranny około swej osoby, wicehrabia lubił także, aby otaczał go ład i porządek, z warunkiem aby sam nie zajmował się nim, pod tym względem nie różnił się od większości mężczyzn. Była to więc wielka i całkiem nowa dla niego przyjemność, widzieć panujący wkoło siebie najwytworniejszy porządek, a biorąc chustkę lub rękawiczki, oddychać miłą wonią sachettów, jakie rączki jakiejś wieszczki wsuwały między jego rzeczy.

Z pomiędzy wszystkich przynęt jakiemi młoda wicehrabina pragnęła pociągnąć męża do zamiłowania domowego ogniska, była jedna na którą najmniej liczyła a najwięcej przecież powinna była liczyć: tę przynętę stanowiła ona sama. Nietylko była ładną, ale nadto jej piękność dziecięco poważna, chód lekki, pełen powabu, czoło promieniejące świetlaną czystością, głębokie spojrzenie dziwnym niekiedy połyskujące blaskiem, stanowiły rodzaj właściwego jej nieprzepartego uroku. Kilka miesięcy spędzonych w Paryżu wydoskonaliły wrodzony jej dobry gust. Ubierała się zawsze z tą wykwintną, spokojną i poprawną elegancyą, która nierozumiejącym wyrazu dystynkcya, mogłaby wytłomaczyć jego znaczenie. Nareszcie, jak powiedzieliśmy wyżej, posiadała umysł ukształcony gruntownie, może nieco jednostronnie, ale zawsze wolny od wszelkiej pospolitości.

Wicehrabia Bernard nie był nieczułym na tak nieocenione powaby, ale psuło mu to nieco ich urok, iż odgadywał doskonale tajemną dyplomacyę żony. Uznawał, że Alieta jest najzacniejszą kobietą i wzorową żoną, miłą, dowcipną, powabną, ale mimo to czuł dobrze, iż pragnęła zamknąć go w klatce, aby oswoił się stopniowo, a nareszcie nauczył śpiewać na ulubioną jej nutę. W duchu, śmiał się z tego trochę i poddając się niby wyrachowaniom młodej żony, z dobrą wolą i wdziękiem zakochanego, jeszcze i z natury szlachetnego człowieka, nie myślał jednak posuwać swej uprzejmości aż do wyrzeczenia się swobody postępowania i myślenia. Oddawał sprawiedliwość zaletom i cnotom Aliety, jednakże sprawiało mu to wielką, choć ukrywaną przykrość, że tak wyłącznie oddawała się obowiązkom macierzyńskim, usuwając się niemal zupełnie od życia światowego i zamykając w domu jakby na pustyni. Cenił wielce poufne rozmowy z żoną, zasoby jej umysłu i delikatny dowcip, był jednak powód łatwy do odgadnięcia, dla którego czuł się zawsze nieco skrępowanym w jej towarzystwie. Jakże to mało jest, jeźli są nawet przedmioty rozmowy, któreby z jakiejbądź strony nie dotykały kwestyi religijnej, mieszczącej się rzeczywiście w gruncie wszelkich kwestyi. Nie dostrzega się tego zwykle w naszem społeczeństwie składającem się wszechwładnie z obojętnych i sceptyków; lecz jeźli wiadomo, że znajduje się w towarzystwie człowiek gorącej wiary, wtedy czy się rozmawia o sztuce, naukach, piśmiennictwie lub polityce, uczuwa się pewien przymus, pewną obawę, aby nie zadrasnąć kwestyi religijnej, nie obrazić uczuć, które szanować należy. W takiem położeniu znajdował się Bernard i żona jego, czy to prowadząc poufną pogawędkę, czy to czytając wspólnie, lub zamieniając wzajemne wrażenia w teatrze lub w muzeach, krępował ich ten zakazany przedmiot.

Zapewnie czytelnicy przypominają sobie, że starając się o pannę de Courteheuse, wicehrabia spo-

dziewał się, że pobyt w Paryżu oswobodzi wkrótce jego narzeczoną od jej przesadzonej pobożności i zbytniego nadmiaru cnót, pozostawiając tylko rzeczywiście potrzebne. Jeżli jednak, myślał sobie teraz, uprze się wieść to jakieś oryginalne i dzikie życie, oddane jedynie Bogu, mężowi i córeczce, można zrozpaczyć o tak pożądanej zmianie. Jako człowiek uczciwy, pan de Vandricourt rozumiał jak niewłaściwem byłoby, gdyby zdawał się popychać żonę do zbytniego umiłowania światowych rozkoszy; lecz mimo to zdawało mu się, że gdyby mógł wyzwolić ją nieco z jej przesadzonej surowości, oboje zyskaliby na tem.

Pewnego wieczoru, paląc cygaro w swej bibliotece, wicehrabia myślał sobie, iż nie będzie to przecież popychaniem żony na złą drogę, jeźli zaproponuje jej, aby pojechała z nim do małego teatrzyku na bulwarach, dla zobaczenia bardzo modnej wtedy sztuki, pod nazwą: „Sześć żon Mollenchart'a", z której dowcipy powtarzano w salonach.

— Bo zresztą, kochana Alieto — mówił jej — zanadto ci są obce sprawy tego świata... Większa część panien dziś głównie dlatego idzie zamąż, aby mogły bywać w Folies-Bergère. Nie powiem, żeby to było dobrze, ale czy ty znów, moja droga, nie wpadasz w przeciwną przesadę, wyobrażając sobie, że oprócz Teatru francuzkiego i Opery, każdy inny jest jakby miejscem wiekuistej zguby.

— Powiedziałeś, że sztuka ta nosi tytuł: „Sześć żon Mollenchart'a?" — zapytała zamyślona.

— Tak. No, naturalnie nie jest-to „Cyd" ani „Britannikus", prosta farsa, nic więcej... Ale cóż to znaczy?... Otóż poradzimy się twoich wyroczni! Bądź tak dobra, podaj mi drugi tom Moliera, ten w którym mieści się krytyka „Szkoły kobiet". Oto w przedmowie przypisującej ten utwór Annie Austryackiej, stoi napisane co możnaby zastosować do wicehrabiny de Vandricourt. „Cieszę się z zaszczytu, jaki mnie spotyka, że mogę jeszcze zabawić W. K. Mość, dającą nam przykład, że prawdziwa pobożność nie sprzeciwia się uczciwym rozrywkom i która raczy śmiać się temiż samemi ustami, któremi tak dobrze umie się modlić i chwalić Pana Boga"... Cóż na to powiesz, moja droga?

— Że Moliere'owi i tobie nic odmówić nie mogę — odpowiedziała wesoło. — Jedźmy więc na przedstawienie „Sześciu żon Mollenchart'a".

Każdy wiek ma właściwy sobie sposób żartowania. Żarty XVII wieku były może nieco za ordynarne, ale szczere, zdrowe i nieszkodliwe, takie były żarciki Moliere'a. Nasz wiek, wykwintniejszy niby, lubi jednak napawać się, czy to w teatrze, czy w książkach, nieco za zbyt wyuzdanemi konceptami. Pani de Sévigné, która przecież lubiła śmiech i wesołość, byłaby pewnie patrzyła obojętnie na przedstawienie „Sześciu żon Mollenchart'a". Pani de Vandricourt, wychowana w podobnem otoczeniu i warunkach co sławna markiza, doznała tak przykrego wrażenia jak dziecię z dobrej rodziny, gdyby przeniesiono je nagle w jakieś niższe, niezrozumiałe sfery, że o mało się nie rozpłakała. Jednak dla zrobienia przyjemności mężowi, próbowała się uśmiechać, ale nie udawało jej się to jakoś i wicehrabia zrozumiał, że ta pierwsza próba emancypacyi wcale mu się nie powiodła. W ciągu tegoż roku, zdawało się panu de Vandricourt, że nastręcza mu się nareszcie lepsza sposobność wyrwania żony z jej zbyt surowego odosobnienia i obudzenia w niej jakiegoś upodobania w życiu światowem, od którego dotąd tak wytrwale stroniła.

Ku końcowi zimy, urządzano jak zwykle w wielkim świecie paryzkim, kilka nader świetnych zabaw na cele dobroczynne, a najgłówniejszą z nich miał być bal w Trocadero, połączony z kiermaszem, na którym w świetnie urządzonych sklepach zasiadać miały piękne panie i sprzedawać różne przedmioty. Bardzo miłosierny z natury, wicehrabia przyjmował zwykle czynny udział w podobnych uroczystościach, nastręczających mu sposobność zrobienia przyjemności biednym, pięknym paniom i sobie. Sądził, że tak chwalebny i prawie religijny cel tych zabaw wielko-światowych, obudzi współczucie jego młodej, zbyt poważnej żony i przytłumi jej przesadzone skrupuły. Prosił więc i nalegał, aby przyjęła obowiązek damy opiekunki i zarazem sprzedającej w jednym ze sklepów, o co proszono ją usilnie, ze względu na jej nazwisko, stanowisko i piękność. Z niewymownem zadziwieniem Bernarda, Alieta odmówiła tego zaszczytu, wymawiając się, „że jest za młoda, bardzo nieśmiała i mało ma znajomych." Gdy mąż, zgorszony nieco, wymawiał jej dość żywo iż usuwając się od współudziału w dobrych, pobożnych uczynkach, uchybia własnym zasadom i wierze, odpowiedziała śmiejąc się:

— Mój drogi, nie dawno przeczytałeś mi ustęp z Moliere'a... bierze mnie ochota wywzajemnić ci się i przeczytać parę stronic Pascal'a... list „O łatwej pobożności"... Ojca Lemoyne.

Pan de Vandricourt rozśmiał się i przestał nalegać. Gdy jednak kilka jeszcze podobnych usiłowań jego spełzły bezowocnie i Alieta nie dała się wciągnąć w wir eleganckiego świata, zniechęcił się i dał za wygranę. Alieta była niezaprzeczenie pełną cnót i zalet, ale zarazem nietowarzyską purytanką. Nie ma rady, należy zgodzić się na to i przebaczyć jej dziwactwu przez wzgląd na wielkie przymioty, pozwolić prowadzić nieco dzikie życie i jak Kopciuszek opuszczać bale w chwili rozpoczęcia kotyliona.

Lecz z drugiej strony, Bernard uważał się od. tąd za upoważnionego do stosowania się do swoich znowu osobistych upodobań i powoli zaczął wracać do swego kawalerskiego życia, tylko przez wrodzoną sobie delikatność, starannie zachowywał pozory, szanując spokój i godność osobistą żony.

Tak więc Alieta widziała się coraz więcej osamotnioną w swojem uroczem, domowem ognisku, urządzonem z tak troskliwą starannością, miłością i nadzieją, w celu przynęcenia i ustalenia w niem męża... Ileż-to smutnych godzin upływało jej teraz na coraz dłuższem oczekiwaniu, jakże bolesnemi pocałunkami okrywała małą swą córeczkę, zarówno jak ona wystrojoną daremnie dla powitania zapominającego o nich niewdzięcznika! Ileż to palących łez padało na śpiącą dziecinę!...

Bernard zastawał często żonę z zaczerwienionemi, wilgotnemi jeszcze oczami, drażniło go to i gniewało coraz więcej. Czegoż nareszcie wymagała od niego? Wierzył lub wmawiał w siebie, iż wierzy, że żona pragnie oderwać go od świata i jego uciech, skazać na odosobnienie i zniewolić do prowadzenia obok niej jakiegoś klasztornego życia. Alieta zanadto była rozsądna, aby mogła łudzić się podobnemi mrzonkami; tylko jak dla siebie tak i dla męża nie lubiła zbytniego rozbawienia i uganiania się za uciechami światowemi, uważając, że nie dadzą się pogodzić z pewną statecznością i poważną myślą. Pragnęła tylko gorąco, aby mniej oddając się zabawom, wytworzyli sobie wspólnie jedno z tych wyjątkowych ognisk domowych, niewątpliwie nader rzadkich, ale dających jednak spotykać się w Paryżu, w którym stanowią nieznane prawie kółko wybranych, przedstawiając zarazem rzeczywiście wzór życia pełnego godności, rozumnego i szczęśliwego. Ceniła bardzo wzniosłe i szlachetne przyjemności i rozrywki, jakie tak wielka stolica jak Paryż pod najrozmaiszemi postaciami nastręcza nieustannie umysłowi, ale pragnęłaby kosztować ich w poufnem, poważnem i wybranem kółku, zdala od rozprzężonej wrzawy, szału światowego i bulwarowej gorączki, stanowiących dla niej jakby szumowiny Paryża.

Gdy wspomniała mężowi o jakiem życiu marzyła dla nich, wzruszył tylko ramionami, szepnąwszy:

— Mrzonki!... Pałac Rambouillet!

Zachodzące między niemi nieporozumienie wzmagało się stopniowo i jakkolwiek zacni i uczciwi oboje, przecież jedno przez drugie wiele cierpieli.

Gdy tak spokój młodego małżeństwa został zakłócony, oboje zwrócili się do jednej osoby, ze smutnemi swemi zwierzeniami. Osobą tą była księżna de Castel-Moret, dawna przyjaciołka rodziny Vandricourt, jedyna kobieta w Paryżu, z którą Alieta ściślejsze zawarła stosunki. Pod względem moralności, a szczególniej religii, księżna nie była tak surowo i namiętnie prawowierną, jak młoda jej przyjaciołka. Wprawdzie całe jej życie było nienaganne, co nie tyle przecież wynikało z jej zasad, jak raczej z instynktu i wrodzonego upodobania; sama mówiła, iż była z urodzenia uczciwą kobietą, żadnej więc w tem nie miała zasługi. Była to staruszka dbająca o powierzchowność swoją i bardzo pociągająca, pomimo siwych włosów. Lubiono ją za jej wdzięk starodawny, za dowcip i mądrość światową, którą oddawała chętnie do rozporządzenia potrzebujących. Czasami kojarzyła małżeństwa, ale specyalnością jej było raczej godzenie poróżnionych lub na złą schodzących drogę, a nie łatwe to było zadanie. Ileż-to czasu zajmowało jej godzenie rozdwojonych małżeństw. „Ha, mówiła, zgoda potrwa krócej lub dłużej, ale wszak wiadomo, że rzecz dobrze naprawiona, często więcej warta od nowej."

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

VII.

Za wsią Popowem, kiedy wojsko Żwana wyszło trochę ze Smolarskiej puszczy, a miało przed sobą wielkie bory Mokrej i Wilkowic, ujrzano po stronie lewej olbrzymie, krwawe łuny na niebie. Jakkolwiek rzecz to była w onych czasach bardzo pospolita i nieomal codzienna, przecież całe wojsko się zatrzymało i patrzało w ową łunę, która pół nieba zalewała purpurą. Na brzegach horyzontu była tak silna i szeroka, że znać było na jej tle czerwonem każde drzewo poblizkiego lasu. Stojąc tak i patrząc na owo zniszczenie dobytku ludzkiego, chłopy między sobą gadali:

— To Kłobucko gore!

— Bogać tam Kłobucko — mówił drugi — to Miedzno Świedy palą.

— Ale, Miedzno! — ozwał się trzeci — nie Miedzno, jeno Łobodno.

Bądź co bądź, cokolwiek się paliło, dość że wojsko miało Szwedów przed sobą w odległości dwóch zaledwie mil. Widocznie Miller palił i rabował wszystko, co na swej drodze napotkał. Pan Samuel, patrząc na to, ściskał jeno pięści i zacinał zęby, a milczał jak pień. Na tyle zato ciągle wesoło rozmawiano i śmiano się głośno. Bartek tylko rozpaczał, że znowu jego Jagusię, która zresztą była wesoła, matuś oćwiczyła w Wąsoszu.

Przebywszy krótką przestrzeń bezleśną za Popowem, zanurzono się w wielki sosnowy bór koło Mokrej i borem tym, idąc ciągle dostano się w końcu nad samem świtaniem na gościniec, wiodący z Krzepic do Kłobucka. Tu w gęstwinie leśnej zatrzymano się i wodzowie zjechali się na naradę, co teraz czynić należy. W naradzie tej wziął udział Żwan, Lniski, Boruta, Żaba i jeszcze jeden szlachcic, który się zwał Gostnicki. Postanowiono wysłać dla zasiągnięcia języka dwa podjazdy: jeden w kierunku Kłobucka pod wodzą Boruty, drugi ku Krzepicom pod komendą Lniskiego. Jakoż każdy z nich, wziąwszy po kilku jeźdźców, ruszył we wskazanym mu kierunku. Z Borutą pojechał i Bartek i rycerz mazurski Litawor.

Reszta wojska, czyli cała chłopska piechota ze Żwanem i Żabą została w lesie przy drodze, ukryta w wielkim gąszczu. Nakazano surowo pod gardłem cichość zupełną, zabroniono rozmów, palenia ogni i wszelkiego hałasu. Mróz nad ranem się wzmógł i zimno było przenikliwe.

Biedne chłopy, znużeni całonocną drogą, zziębnięci, pokładli się pokotem na śniegu, dygocąc i drzemiąc na pół a na pół czuwając. Żwan i Żaba zeszli z koni i poszli na skraj lasu, nad samą drogę i tam, ukrywszy się za drzewem, czekali na rezultat wysłanych zwiadów.

Przyroda w tym głuchym, sosnowym borze, wśród leniwie budzącego się poranku zimowego dnia, była smutna i pełna nieokreślonej melancholii. Niebo było blade i gdzieś tam na wschodzie za lasem czerwieniło się już lekką purpurą, a po borze włóczyły się mętne, niepewne blaski świtu. Mróz wzmagał się z każdą chwilą i choć wiatru nie było, puszcza szumiała posępnie. Od czasu do czasu ptaszek jakiś zaświergotał i wrony krakały, pędząc gdzieś na żer gromadą. Tu i owdzie jeszcze na niebie widać było bledniejącą gwiazdkę, białe obłoki na skrajach horyzontu, różowiące się od wschodzącego słońca jak dziewczyna.

Żwan i Żaba, oparci o olbrzymią sosnę, milczeli wsłuchując się w najmniejszy szmer. Od drogi przedzielał ich rów, w którym szkliły się tafelki zmarzłego lodu i resztki zczerniałej, letniej trawy. Sama droga była mocno stratowana i śnieg na niej był brudny i zorany, co dowodziło, że niedawno tędy przeszło dużo ludzi i koni.

— Ani chybi — mówił Żwan — Horn już jest w Kłobucku. Cała nasza wyprawa, widzi mi się, psu na budę się nie zda.

— A to czemu? — spytał Żaba, który gadał przez nos.

— Ano... Horn może pójdzie z Millerem do Częstochowy i my po próżnicy jeno czekać będziemy na niego. Źlem uczynił, słuchając rady Boruty. Mnie trzeba było iść na Krzepice.

— Hm! może to i prawda, panie bracie — odrzekł na to Żaba — wszelako czekajmy, co nam przyniosą podjazdy.

Czekano więc w ponurem milczeniu i trosce. Chłopi po krzakach ukryci, szemrali cicho na zimno i głód, który im dokuczać począł. Dobrze już na dzień, gdy słońce weszło i blask jego rozjaśnił nieco ponure ciemności leśne, Lniski powrócił z podjazdu od Krzepic, donosząc o tem, czego się już Żwan domyślał, że Horn zaraz z wieczora wyruszył do Kłobucka, ale że go spodziewają się z powrotem w ciągu dnia, bo w jednej z wiosek za borem nakazał przygotować dla siebie prowiant.

— Jak wytatarujemy skórę tutaj Hornowi — gadał pan Samuel — to prowiant ten będzie dla nas.

Czekano więc na powrót Horna już z lepszą nadzieją i ufnością. Niepokojono się tylko długą nieobecnością Boruty, który, choć dzień dawno się już zrobił, nie pokazywał się jakoś wcale. W lesie wciąż panowała cisza i żywej duszy nie było widać na drodze, jeno wrony łaziły po stratowanym śniegu, wyszukując ziarna w pomiocie końskim. Chłopom pozwolono palić ogniska, żeby się ogrzali trochę, bo mrozik był dobry i ostry.

Tak upłynęło jeszcze parę zegarowych godzin, gdy nagle od Kłobucka zadudniała ziemia i zobaczono Borutę, jadącego rysią na czele swego podjazdu. Przypadł i osadzając konia, zawołał:

— Mości panowie, Szwedzi niedaleko! Do broni co żywo!

Skoczyli więc wszyscy do broni. Chłopi zerwali się na równe nogi, rozrzucili w oka mgnieniu ogniska i przygasili je, świtki i czapki poprawili na sobie i ze swą spokojną, obojętną postawą czekali na rozkazy. Boruta objaśnił, że Szwed jest ztąd co najwyżej o ćwierć mili, że wszystkiego ma niespełna pięćdziesiąt koni zmęczonych i zdrożonych mocno, że przypatrzył im się dobrze, ukryty w lesie, z góry, jaka ztąd jest niedaleko. Za radą Lniskiego rozdzielono całą piechotę na dwie części i pomieszczono w gęstwinie po obu stronach drogi. Nad jedną częścią wziął dowództwo Żwan, nad drugą Lniski. Jazdę całą, ustawioną z boku w lesie oddano pod komendę Boruty. Chłopom nakazano dopiero wtedy rzucić się na Szweda, gdy Żwan da ognia z pistoletu.

W takim szyku, w milczeniu, z przytłumionem biciem serca oczekiwano na nieprzyjaciela. Chłopi z kosami w rękach, leżeli na ziemi spokojni, cisi, z błyskawicami w swych zamglonych oczach, zapominając o śniegu i mrozie... Kosy dygotały w ich rękach i czułeś, patrząc na nich, że kiedy te Maćki runą na wroga, to wróg ten przepadnie z kretesem, że tam jeno strzępki i drzazgi lecieć będą...

Nakoniec, po długiem, męczącem oczekiwaniu, usłyszano daleki tentent koni, który ciągle się zbliżał i zaraz potem, na małej górce ukazała się jazda szwedzka, rajtarami zwana. Na jej czele, na ciężkim fryzie postępował sam Horn, w wielkim kapeluszu z białem piórem, otulony w futrzaną opończę, w dużych za kolana butach. Za nim posuwali się jeźdźcy, wszyscy w kapeluszach i płaszczach, z pistoletami w olstrach i szablami przy boku. Słońce przeglądało się w ich zbrojach, krasiło purpurą ich groźne, wojownicze postacie. Szli wolnego stępa, wlokąc się raczej niż idąc, w pewnym nieładzie, na poły drzemiąc na swych ciężkich, pleczystych szkapach, w najzupełniejszem bezpieczeństwie, nie przeczuwając strasznego gromu, jaki za chwilę miał spaść na nich z ręki chłopa polskiego...

Konie człapały głośno po twardym śniegu, szable brzęczały i szmer między żołnierzami dochodził do uszów chłopskich. Chłopi ściskali kosy i wstrzymywali dech w sobie. Żwan, przyczajony za krzakiem z pistoletem w garści, patrzał strasznym wzrokiem w zbliżającego się Horna...

Nakoniec Szwedzi nadjechali na zasadzkę. Horn, który dotąd miał twarz ukrytą w opończy, a kapelusz nasunięty na czoło, nagle jakby tknięty czemś a może do uszu jego doszedł jakiś podejrzany szelest, dość, że nagle ściągnął konia gwałtownie i podniósł głowę, wlepiając swe duże, zielone, dzikie oczy w krzak, za którym czaił się Żwan... Za Hornem cała kolumna się zatrzymała, oglądając się dokoła i na wodza trwożliwie.

Nie było chwili czasu do stracenia. Żwan wymierzył i wypalił... Koń Horna się spiął i runął na ziemię. Na huk strzału zaszeleściało w krzakach, kosy złowrogo brzęknęły i jak czarna lawina wysypały się z lasu Maćki polskie. Jak lwy wściekłe przesadzali rów, dzielący drogę od lasu i potrząsając kosami i krzycząc „Jezus, Marya, Józef!" wypadli na Szwedów... Żwan z gołą szablą w garści, wybiegł także na drogę, szukać Horna, którego widział lecącego z konia, ale dokoła zawrzało wszystko jak w garnku. Zrobił się taki zamęt, że nic dojrzéć nie można było, jeno rwące się i sadzące dęba konie, ludzi migających szablami i straszne błyski kos, padających w miękkie, ludzkie ciała. W tej strasznej rzezi, głosów ludzkich słychać nie było, jeno jęki głuche, rżenie koni i świst kos... Chłopy tak cięli, że głowy, ręce odpadały z impetem na drogę... Krew bryzgała na stratowany śnieg. Szwedzi, zbici w jedną kupę, usiłowali się przez chwilę bronić, ale widząc niemożność obrony, poczęli uciekać. Ale tu Boruta ze swymi jeźdźcami wypadł na drogę i brał lub siekał uciekających. Żwan stał na uboczu i patrzał na to krwawe widowisko. Widział, jak Wojtek Okoń, zrobiony przez Lniskiego starszym nad chłopami, ciął kosą jakiegoś Szweda, tak silnie, że go rozpłatał na dwie połowy. Krew bluznęła z zabitego jak fontanna i koń przestraszony w gwałtownych skokach poniósł okropne szczątki człowieka ku jeźdźcom Boruty. Chłopy się zażarli tak, że cięły wszystko i ludzi i konie... Nikomu nie przebaczano, nikt z tej jatki życia już wynieść nie mógł...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA DO PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. B.

(Dalszy ciąg.)

Była to pani Greely, która powiadomiona o wszystkiem, nie chciała czekać ani jednej chwili, ale popłynęła bezwłocznie na spotkanie wracającego męża. Major prawie oczom własnym nie wierzył, sądził, że ulega złudzeniu zmysłów, tyle

zaszły wypadek zdawał mu się nieprawdopodobnym.

Prócz stęsknionej małżonki, dwie jeszcze inne osoby zjawiły się na pokładzie wracających okrętów.

Kto zna amerykańskie obyczaje, ten łatwo odgadnie, że byli to korespondenci dzienników, polujący chciwie i wytrwale na nowiny. Wyprawa majora Greely wzbudziła ogólne zajęcie, szczegóły więc dotyczące takowej były nader pożądane i redakcye nie szczędziły kosztów, aby podać je jak najspiesznej do wiadomości publicznej. Tak jak w wielu innych wypadkach, tak i w tym Herald pobił Morning Posta, gdyż jeszcze tego samego dnia odebrał niezwykłej długości telegram, zawierający ośm kolumn dziennika, potrzebujący do swego przesłania czterech godzin czasu. Zanim więc niedobitki naukowej kolonii i ich wybawiciele przybyli do Nowego Yorku, już ważniejsze wypadki nie były dla nikogo tajemnicą i cała ludność Północnych Stanów Ameryki, przez wysłane deputacye chciała uczcić bohaterów Północy, jak ich w ogóle nazywano.

Nigdzie może narodowe uroczystości nie są obchodzone tak świetnie, jak na drugiej półkuli naszej planety; mieszkańcy nie szczędzą ani czasu ani pieniędzy, aby tylko okazać jak umieją ocenić każdą zasługę.

W obecnym wypadku należało przedewszystkiem pomyśléć o żałobnym obrzędzie, żywi powinni byli ustąpić pierwszeństwa zmarłym. Z pierwszym brzaskiem dziennym, wszystkie statki amerykańskie wywiesiły czarne chorągwie na znak żałoby; za przykładem tym poszły statki francuzkie, jako znak uznania nietylko dla ofiar nauki, ale i dla własnego rodaka; jedni tylko Niemcy, jak się wyraża pan de Fonvielle, skutkiem grubiaństwa i głupoty nie zmienili flagi, co przez wszystkich uważanem było jak najgorzej.

Wśród huku dział wszystkie statki udały się majestatycznie na spotkanie wpływających okrętów. Na czele ukazał się Tethys, później Ours, nareszcie Alerte, dowodzony, rzecz dziwna, przez kapitana noszącego nazwisko Coffin, któryto wyraz w języku angielskim oznacza trumnę. Zaiste niekiedy można napotkać najmniej spodziewany zbieg okoliczności. Któżby zdołał policzyć różnej wielkości statki, otaczające trzy wymienione okręty. Przedewszystkiem jednak zwracała na siebie uwagę tratwa, cała pokryta wspaniale urządzonemi katafalkami, na których spoczęły ciała zmarłych. Wybitą była cała czarnem suknem ze srebrnemi listwami, a ciągniona przez parową szalupę, również przybraną do okoliczności.

Ciała nieboszczyków po wylądowaniu, miały być przewiezione na czas jakiś do wojennego szpitala, za pośrednictwem artyleryjskich furgonów. Dla ich przyjęcia udały się tam wcześnie różne znakomitości, nie wyłączając ministrów, a jenerał Sheridan przedstawiał urzędownie prezydenta Stanów Zjednoczonych. Widok był zaiste rozrzewniający głównie z tego względu, że na pogrzeb przybyło kilka wdów i kilkanaście sierot, opłakujących przedwczesny zgon mężów lub swych życiodawców. Trwoga ich o dalszy byt była tylko chwilowa, bo rząd amerykański zaopatrzył hojnie ich potrzeby. Po złożeniu ciał zmarłych w wielkiej sali, przystrojonej wspaniale i po odegraniu przez orkiestry żałobnych hymnów, następnie cały orszak udał się na cmentarz, gdzie po religijnych obrzędach złożono trumny w murowanych grobach, nad którémi wzniesione zostały później wspaniałe pomniki. Przestrzeń wynosząca prawie milę polską, zasłana była literalnie głowami ludzkiemi, przerwaną została komunikacya na cały dzień, zamknięto wszystkie sklepy i wstrzymano najpilniejsze prace.

(Dokończenie nastąpi.)

Z pod naszej strzechy.

Treść: Pomnik dla Mickiewicza. — Rzeźba Rigiera i Gadomskiego. — Alegorya pomysłu Matejki. — Jej niezrozumienie. — Konieczność jej porzucenia. —Zbywanie kwestyi drwinkami i szyderstwem. — Prostota w miejsce alegoryi. — Pomysł do pomnika odpowiedni. — Ubóstwianie ludzi za życia. — Kiedy ludzi wielkiemi zwać należy? — Teatr w Lublinie. — Jego otwarcie. — Dwie drobnostki.—Następstwa z nich.— Karnawał. — Bale wełniane. — Bal czeski. — Hygieniczny. — Bal polski w Wiedniu. — Szczegóły z niego. — Panny Wanda i Jadwiga Bulewskie, fortepianistka i wiolistka.

Sprawa pomnika dla Mickiewicza weszła na nową drogę, na której zapewne znów utknie na czas jakiś. Jak wiadomo, po nieprzyjęciu projektu Dykasa, pomysł Matejki w rysunku uznano za najlepszy i dwom rzeźbiarzom pp. Rygierowi i Gadomskiemu polecono według niego przygotować odpowiednie modele.

Artyści spełnili wiernie narzuconą im pracę i stosownie do planu Matejki, cały pomnik jest alegorycznie pojęty.

Podstawę jego stanowi skała granitowa, zakończona czworoboczną platformą, wykute zaś stopnie prowadzą do piedestału, na którym siedzi poeta w postaci na pół obnażonej, okryty togą w połowie swej figury. Wieniec laurowy na czole, tworzy rodzaj promieni światła około głowy; z lewej strony stoi oparta o piedestał postać kobieca z kagankiem w ręku i rozpuszczonemi włosami. Od frontu nieco ku prawej stronie, klęczy młodzieniec, wskazując na wieszcza. Tylną część pomnika zajmuje grupa, złożona z pięknej, młodej dziewczyny, poważnego starca i smukłego młodziana. U stóp tych postaci tryskają trzy źródła, łączące się w muszli delfina i rozlewające się po niej w obszerniejszym basenie.

Otóż taki jest model projektu pomnika alegorycznie pojętego, a choć przedstawia się w wielu szczegółach dość pokaźnie, któż jednak domyśli się co właściwie te alegoryczne postacie przedstawiają? Komentarz dopiero powiada, że owa młoda dziewczyna to ma obrazować Wisłę, poważny starzec Niemen a młodzieniec Dniepr.

Alegorya więc zła, skoro bez objaśnienia jest niezrozumiałą, a jeżeli trudno o lepszą, przemawiającą jasno do pojęcia każdego bez komentarzy, czyż nie należałoby się z nią rozstać stanowczo i prostocie jak największej oddać pierwszeństwo?

Myśl ta godna rozwagi, godna zajęcia się nią prasy peryodycznej, ale publicyści nasi z ustalonem nawet nazwiskiem, podnosząc głos w tak ważnej kwestyi, wolą zbywać ją jak żaki, drwinkami i szyderstwem, jak poważnym rozbiorem przyczynić się do jej rozjaśnienia. Wprawdzie dowcip połączony z niewymuszonym humorem, podoba się bardzo, ale czy godzi się nim posługiwać w kwestyach nie chwilowej wartości i to przez ludzi pozujących na znakomitości?

Gdyby więc prostotą chciano zastąpić wymaganą dotąd alegoryą, radziłbym odrzucić wszystkie postacie pomysłu p. Matejki, a na szczycie skały ustawić poetę w płaszczu znanym wszystkim z gipsowych reprodukcyi lub w przystroju togi rzymskiej, z wieńcem na głowie, na podstawie zaś dać napis: Adamowi Mickiewiczowi Ziomkowie. Na pomnik taki spojrzawszy każdyby zrozumiał, nawet cudzoziemiec nieznający Krakowa i jego przeszłości, że stojący na skale musiał być wielkim, gdy go cześć taka spotkała. Prostota często dziwnym zaleca się urokiem. Któż się nie rozczuli łzą matki, wspomnieniem straty swej dzieciny wyciśniętą. Postać jej wykuta z marmuru, postawiona na mogiłce z rękami załamanemi boleśnie, czyż nie przemówi do każdego jasno i zrozumiale.

Po ukończeniu wojny bratobójczej amerykańskich Stanów Zjednoczonych, zwycięzcy o ile mogli tyle zebrali nazwisk poległych i zaraz za miastem, na przestrzeni starannie ogrodzonej, usypali czterdzieści tysięcy mogił, na nich ustawili krzyże z nazwiskami zabitych a nad wejściem do tego olbrzymiego cmentarzyska na raz jeden wyrosłego z pod ziemi, położono napis: *Poległym w wojnie bratniej w latach* i t. d.

Prostota nie może być już większą. Mogiła darnią wyłożona i krzyż symbol ofiary i męczeństwa, rzeczy znane wszystkim, powszednie i bardzo zwyczajne, ale na wielkiej przestrzeni, ustawione w kwadrat w dwustu szeregach, osłonięte cieniem drzew, wśród ciszy i szczebiotu ptaszyn, jakże wymownie przemawiają żalem i czcią dla ofiar złości ludzkiej. Alegoryi i tu żadnej nie użyto, a jednak każdy przeczytawszy napis i spojrzawszy na krzyże, niby na kolumny wojskowe, czekające tylko znaku, aby w marsz ruszyć, zrozumie co to wszystko znaczy i smętną myślą uczci ten gród umarłych.

Otóż i w pomniku dla Mickiewicza podobna prostota byłaby najpożądańszą, tylko koniecznie trzeba się pozbyć ubóstwiania ludzi za życia, do czego bardzo jesteśmy pochopni aż do przesady i... śmieszności. Talent czy geniusz, mistrz czy skromny pracownik, gdy spełnia wiernie co umie i do czego zdolny, dopełnia tylko obowiązku i nic więcej tylko obowiązku, chwalić więc nie ma co.

Jeżeli zaś godny wielkości, ta go nie minie, ale dopiero gdy księga jego żywota zamknięta dozwoli w kartach jej rozpatrzyć się i ocenić, z całym spokojem ducha niemąconego żadnemi postronnemi względami. Naszego Kazimierza jakże późno Wielkim nazwano, tymczasem my dziś wielkością wieńczymy żyjących, a na znakomitości namaszczamy nawet.. miernoty. Nieraz aż śmiać się chce z tych obwoływanych wielkości i znakomitości kołowaciejących odbieranemi pochwałami.

Jak wiadomo, Lublinianie dzielnie się z teatrem sprawili. Za myślą rzuconą przez pp. Frycków i początkowym ich wydatkiem na kupno placu, prace konkursowe i różne starania, akcyonaryusze powodowani jedynie obywatelskiem uczuciem, złożyli przeszło 60,000 rubli i za fundusz ten przy własnem staraniu, opiece i troskliwości ciągle rozwijanej w czasie wznoszenia gmachu, wy-

budowali teatr, mogący stanowić piękną ozdobę nawet Warszawy. Otworzenie jego odbyło się z wielką uroczystością, przybyszów ze stron różnych było wiele i z miast i ze wsi, a i literatów także warszawskich przybierających na sobie rolę reprezentantów prasy niemała liczba. I wszystko skończyłoby się prześlicznie, godnie wpisania złotemi literami do kroniki miasta, gdyby nie dwie drobnostki, niby malutkie, niby nic znaczące a jednak zacierające zupełnie, pierwiastkowe miłe wrażenie.

Oto zarząd teatralny zaniedbał panów literatów warszawskich na dworcu kolei w Lublinie, powitać czołobitnem przemówieniem, na tryumfalnym wozie przewieźć do miasta, przez heroldów ogłosić nazwiska przybyłych z Warszawy znakomitości i wreszcie oprowadzać po mieście dla poznania pamiątek historycznych z trąbami ogłuszającej mocy.

Drugą zaś drobnostką było zapomnienie pana reżysera w Lublinie, że być gburem nie przystoi nikomu, już nietylko względem chórzystek i chórzystów, ale nawet względem prostej sługi, byle z odrobinką pojęcia godności własnej.

Drobnostki te straszną wywołały burzę. Panowie literaci słusznie rozgniewani za takie lekceważenie ich wielkości, sprawili pismienne cięgi zarządowi zaraz po powrocie do Warszawy, a cały skład artystyczny, porzucił pana Puchniewskiego i na własną rękę rozpoczął przedstawienia w starym gmachu teatralnym, nowy pozostawiając pustkami.

Obecnie nieporozumienie już załatwiono a panowie literaci udobruchani, otoczyli teatr lubelski łaskawemi względami swej opieki.

Dajże Boże, aby ta na nowo powstała harmonia jak najdłużej szmermelem jakiej kłótni nie została zerwaną.

Mimo tych zwad, wymówek i nieporozumień, karnawał wydobywa ostatki sił, aby godnie podążać ku ostatkom.

Bale też publiczne, nawet większe, cieszą się dawno nie bywałem powodzeniem a mniejsze tak zwane wełniane w resursie Obywatelskiej, ze zbytkiem zupełnie rozbratane, bywają zawsze tak tłoczne, że aż liczbę biletów musiano ograniczyć, aby ciasnota nie szkodziła zabawie.

Odbył się także bal ułożony przez Czechów, zamieszkałych w Warszawie, na który: *Vstupni listek do zabawy cesko-slovańskie-besedy*, rozesłany został do niektórych redakcyi. *Taneční poradek* rozpoczął się polką, po tej nastąpił kontredans, później narodowa *Beseda*, polka-mazurka a w końcu uderzono w mazura.

Zasługuje tu również na wzmiankę, zabawa taneczna nazwana hygieniczną, jaka się odbyła w domu jednego z tutejszych lekarzy, która rozpoczęta o godzinie siódmej wieczorem, skończyła się punkt o dwunastej. W innym zaś domu prywatnym, na kartach zapraszających drukowanych, zrobiono dodatek, iż gospodarstwo przyjmują tylko do dziewiątej, osoby więc spóźniające się, zmuszeni zostaną przyjąć innym razem, gdyż po dziewiątej przybyłe zastaną drzwi zamknięte.

Jakby to ślicznie było, gdyby dwa te zastrzeżenia stały się zwyczajem obowiązującym. Spóźniania się na zebrania proszone, szczególniej taneczne, stały się poczwarnie niedorzecznemi. O godzinie po dziesiątej, zaledwie parę osób spotyka się w salonie i to niezawsze a wiele osób zaledwie po jedenastej do niego przybywa. Jakaż to prosta mitręga czasu, jakież samowolne poniewieranie zdrowia niewywczasem i jedzeniem o niezwykłej porze.

W Wiedniu bal zwany polskim, odbył się z tradycyjną świetnością, na którym zdawało się wszystkim, że wysokie sfery tamtejsze i wiele osób z inteligencyi, szczególną uprzejmością pragnęły okazać współczucie swoje względem berlińskich wystąpień. Jak zwykle bal ten odznaczył się, pięknym przystrojem sali, ożywioną zabawą, gdyż aż dwóch mazurów tańczono i karnetami dla pań, które wprawiły w rozpacz gospodarzy innych balów. Tego roku otrzymały panie wachlarze w oprawie białej ze złotem i z godłami narodowemi, a na białym ich atłasie pomieszczono obraz Rybkowskiego przedstawiający weselny pochód Huculów przed cesarzem w Kołomyi w 1880 roku. Tło obrazu stanowi wystawa etnograficzna w tem mieście, na przodzie rozpięty wielki namiot turecki, pamiątka z odsieczy Wiednia. W pośrodku stoi cesarz, przed nim prezes wystawy, a w około niego dygnitarze odportretowani Al. hr. Potocki, Grocholski, Smolka, Golejewski, Ar. Potocki, St. Tarnowski i inni, w głębi po lewej lud. Z prawej strony przechodzi wesele, otwierają pochód muzykanci z długiemi huculskiemi tubami, cymbalista i skrzypiciel, potem panna młoda na koniu, pan młody z drużbami, wszyscy konno i cała drużyna weselna.

Rybkowski wykonał na pargaminie dwa oryginały takich wachlarzy, z których jeden wręczony został następczyni tronu Stefanii, drugi Maryi Teresie, małżonce arcyksięcia Karola Ludwika. Według tych oryginałów wykonane zostały odbicia na karnecikach, które poprostu zrobiły furorę.

Na balu miał być arcyksiążę Rudolf ale zachorował na febrę, zjawiła się jednak małżonka jego Stefania, której wdziękowi niemal dziewiczemu, zebrani nadziwić się nie mogli. Honory gospodarza pełnił arcyksiążę Karol Ludwik wraz z małżonką swoją Maryą Teresą. Znajdowało się także na balu wielu członków domu cesarskiego, to samo należących do świata dyplomatycznego, wielu książąt i znakomitości, wreszcie byli oprócz redaktorów pism miejscowych, korespondenci najpoczytniejszych pism angielskich, francuzkich, poznańskich, krakowskich, a nawet i nasz Kuryer Warszawski miał swego reprezentanta, z którego sprawozdania najwięcej korzystamy. Dochód przeznaczono na korzyść wygnańców z Poznańskiego.

Z tej dalekiej dzielnicy pamiętnej sławą naszej obrony, jeszcze was na chwilkę wprowadzę *pod naszą strzechę*, aby choć słów kilka poświęcić pannom Wandzie i Jadwidze Bulewskim, pierwszej grającej na fortepianie, drugiej na skrzypcach, a które mieliśmy przyjemność wysłuchać na koncercie danym przez nie w ratuszowej sali. Powodzenie było zupełne, publiczność nadspodziewanie zgromadziła się licznie, każdy numer wykonany oklaskiwała, artystki po kilkakroć przywoływała, a jednak... panowie sprawozdawcy muzyczni nie podzielili w zupełności zdania ogólnego.

Rozgniewało ich widocznie powodzenie artystek przez nich nieprotegowanych, gdy protegowani przed pustemi grali ławkami. Zapomnieli, że publiczność warszawska a przynajmniej część jej pewna, nietylko lubi muzykę ale i umie właściwie ją ocenić; gdy więc zbiorowo okazała zadowolenie z koncertu panien Bulewskich, musiała w grze ich znaleźć przymioty godne tego.

I rzeczywiście gra artystek posiada je w wysokim stopniu, mechanizm, zrozumienie rzeczy, uczucie, łatwość w wykonaniu, cóż więcej można żądać od artystek niemieszczących w programie wielkich poematów muzycznych, ale kompozycye salonowe, ozdobione dwoma sonatami nieśmiertelnego Bethowena?

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Szkoła rolnicza** w Marjen-górce, w gubernii Mińskiej, założona przed kilkoma laty, rozwija się bardzo pomyślnie. Powstała ona z inicyatywy kilku ziemian powiatu Kumeńskiego i dzięki poparciu p. K. Wojniłowicza, który na rzecz szkoły ofiarował 35,000 rs. Dziś zakład posiada już dwa razy tyle kapitału, który powstał z darów prywatnych, od obywateli i włościan dwóch powiatów, od których przy otwarciu szkoły wpłynęło 15,000 rs.

Celem szkoły w Marjen górce jest przygotowanie mniej więcej specyalnie uzdolnionych agronomów, którzyby mieli dokładne pojęcie o gospodarstwie, znali się na uprawie roli, na inwentarzu, narzędziach rolniczych, słowem, kształcenie praktycznych rządców-ekonomów.

Początkowo były tylko trzy klasy, obecnie otworzono czwartą.

Do każdej klasy, 20 pensyonarzy z całkowitem utrzymaniem, przyjmują bezpłatnie, większość uczniów stanowią dzieci okolicznych włościan.

Kończący kurs, otrzymują niezwłocznie miejsca praktykantów.

Przyjmują tam chłopców od lat 14 do 16, z świadectwem ukończenia elementarnej szkółki ludowej, lub też po złożeniu egzaminu.

*** **Album warszawskich piękności.** Niektórzy szczęśliwcy widzieli pracę p. Kazimierza Mireckiego, i cieszyli się już widokiem uroczych blondynek, szatynek i brunetek, gdyż artysta uwzględnił w swoim zbiorze różnorodność typów i rodzajów piękności.

Pierwszy zeszyt poddany korekcie, ukaże się w krótkim czasie, autor przygotował jeszcze dwadzieścia portretów, które będą przeznaczone do dalszych kart albumu.

Wszystkie portrety p. Mirecki odtwarzał z natury, a reprodukowane są w jednej z tutejszych fotodrukarni.

Będą to rzeczy ładne, przyznajemy, ale czy sława tej kategoryi nie przyniesie niejednej główce znacznie więcej szkody niż pożytku? Jeżeli p. Mirecki szukał typów w sferze kobiet bogatych, spotęgował próżność i tak już dość próżnych istot, a w rezultacie dałby nam piękności jednej tylko warstwy społecznej; jeżeli zaś gromadził je zewsząd, wynajdywał perły, mało zważając na ich otoczenie, tem gorzej jeszcze.

Wyobraźmy sobie dziewczynę biedną, która figurowała w albumie piękności!

Ta myśl oderwie ją od pracy, przewróci w głowie, nadmie pychą, słowem, zdemoralizuje. I cóż z tego wyniknie? nic dobrego z pewnością.

*** **Plotka w Warszawie** to już nie drobna, prowincyonalna jej imienniczka, lecz baśń kolosalna w całem znaczeniu tego wyrazu. Spotykamy się z nią w pewnych odstępach czasu, obejdzie całe miasto, rośnie w tej wędrówce i zginie, przeszedłszy granice prawdopodobieństwa.

Jednę z takich plotek urządził jakiś żartowniś, rozpuściwszy w dzielnicy nalewkowskiej wiadomość, że przyjechała do Warszawy córka Rotszylda z Frankfurtu, wioząc posag, wynoszący 5 milionów funtów szterlingów.

Dodawano, dla bliższej informacyi, że Rotszyldó-

wna stoi w hotelu Europejskim, pod N. 17, a ponieważ jest bardzo brzydka (podobna z twarzy do zwierzęcia, którego mięso nigdy nie skalało jej ust), więc nie może znaleźć małżonka i przyjechała szukać go w Warszawie.

Tłumy żydów zbiegły się przed hotelem, aby ujrzéć brzydką milionerkę, niektórzy z bardziej zaciekawionych wtargnęli na korytarz, szwajcar i służba nie mogli sobie dać rady.

Napróżno tłomaczono, że to jest bajką; epuzerowie nie chcieli wierzyć, cisnęli się, chcąc poznać córkę krezusa.

Musiano się uciec do interwencyi policyantów, którzy zabrali do cyrkułu kilkadziesiąt osób.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** Pamiętnik Ludwiki Michel, na który, chciwi wrażeń Francuzi czekali z wielką niecierpliwością, nie wywołał spodziewanego wrażenia. Pierwszy tom zawiera same poezye, męczeniczka opowiada dzieje swojej młodości, stylem kwiecistym, natchnionym.

Idź książko moja, mówi w dedykacyi, idź na groby w których obie śpią (matka i przyjaciołka), niechby się życie moje skończyło, abym mogła spocząć obok najdroższych. Nudy obejmują mnie wężowym uściskiem, ponieważ nie spodziewam się niczego na świecie, przeto dążę do swojego celu, jak ktoś, co rzuca wypitą czarę daleko od siebie.

Bezduszne to wszystko, więc też może lepiej, że i nie ciekawe, gdyż nie tak szkodliwe.

*** Oszukiwali się wzajemnie. Jedna z baletniczek paryzkich, przyjaciółka bogatego bankiera, zakochała się w innym, w sekrecie przed *opiekunem*.

Bankier wiedział o tem dobrze, udawał jednak zupełną nieświadomość, a zachorowawszy ciężko, postanowił zemścić się na niewiernej.

Czując, że śmierć się zbliża, wygotował dwa dokumenta, z których pierwszym zapisał tancerce 300,000 fr. a drugim znosił ten zapis. Pierwszy akt wręczył damie, a drugi swemu bratu, wraz z listem do sylfidy, który zawierał te słowa:

„Nie jestem taki głupi, jak się wydaję; wiedziałem wszystko, lecz dla świętego spokoju, wolałem nic nie mówić. Aby mnie jednak ludzie nie mieli po śmierci za dudka, urządzam ci figiel, który ich przekona, że nim nie byłem.

List ten, wraz z dokumentem unieważniającym zapis, doręczono tancerce.

Oszukująca została oszukaną.

*** Sprawa pomnika Adama Mickiewicza otworzyła pole do długich dyskusyi, kłócono się za pierwszym rszem, nie wybrano żadnego z projektów, obecnie zaś pomimo współudziału Matejki, sprawa nie posunęła się ani o jeden krok dalej, lecz niby w zaczarowanem kole, nieustannie się obraca.

Widocznem jest, że nowy plan pomnika, bardzo kosztowny w wykonaniu, bo obliczony na 200,000 złr. dużo pozostawia do życzenia; tym razem jednak, ze względu na osobę Matejki, komitet znalazł się w sytuacyi bardzo trudnej. Chcąc się z niej wycofać, ostateczną decyzyę odroczono.

Opinia i zdania ścierają się żywo, jedni uważają za właściwe wybrać komisyę, złożoną ze znawców i artystów i powierzyć jej doprowadzenie do skutku pomnika dla Mickiewicza, bez oglądania się na opinią publiczną; drudzy żądają zmian w ostatnim projekcie, inni zaś utrzymują, że wszelka modyfikacya popsuje całość, lepiej więc rozpisać trzeci konkurs.

Tymczasem, na wniosek Matejki uchwalono zapowiedziany listem przez p. Dykasa, nowy model na widok publiczny wystawić, oraz napisać do p. Piusa Welońskiego w Rzymie, który podobno wykonał model bardzo szczęśliwego pomysłu. Naszem zdaniem ten ostatni mistrz dłuta, który dotychczas nie stawił się do apelu, zdolny jest więcej niż wszyscy inni, utworzyć dzieło godne Mickiewicza.

*** Nagrody. W Sorbonie, na dorocznem posiedzeniu towarzystwa ochrony niemowląt, które miało miejsce przed dwoma tygodniami, udzielano nagrody najlepszym mamkom. Sala przepełniona matkami, mamkami i niemowlętami, oryginalny przedstawiała widok. Zamiast poważnej łysiny uczonego, jaśniały czepeczki i kapelusze, amfiteatr w którym zazwyczaj rozlega się echo uroczystych mów, wygłaszanych spokojnie, z powagą, roił się mnóstwem kobiet i dzieci, a wszystko to wesołe, uśmiechnięte, dobrze usposobione.

Przyznano nagrody po 100 fr. mamkom, z których jedna wykarmiła 16 dzieci, druga zaś 24 własną piersią a 4 buteleczką. Zasługi tych kobiet przyjęto grzmiącemi oklaskami, a kapela wojskowa wykonała odpowiednią fanfarę.

Sprawozdawca notując fakt, nie dodaje przytem, czy owe panie przedstawiły cały komplet swoich mlecznych dzieci, ważną bowiem jest kwestyą, czy kobieta choćby najzdrowsza, 24 niemowląt wykarmić jest w możności. *Karmić* a *wykarmić*, to jeszcze wielka różnica! Naszem zdaniem sama wysokość cyfry, przeciwko niej przemawia.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani W. w Równie. Dodatki z żądaną pawieścią znajdują się tylko w kompletach kwartalnych i opłata za takowe wynosi rs. 1 kop. 80. Numer pojedyńczy kosztuje kop. 15, dodatków oddzielnie nie sprzedaje się, ale dla Prenumeratorów wszelkie ustępstwa chętnie są robione. Oleodruk stanowiący premium dla Tygodnika Mód, przedstawia piękny leśny widok podczas zimy z osadą kowala i z odpowiedniem ożywieniem. Szerokość jego wynosi cali 28, wysokość 20. Dla prenumeratorów za przysłaniem kop. 30 jako zwrotu kosztów na opakowanie i opłatę pocztową, wysłany zostaje natychmiast. O połowę mniejszy, podobny oleodruk, przedstawiający grupę złożoną z matki i kilkorga dzieci wspólną miłością ożywionych, stanowi premium dla Przyjaciela Dzieci. Opłata za niego na koszta przesyłki wynosi kop. 15 i przez prenumeratorów obu Pism może być nabywany.

Pani Świdowej w Penzie. Początek Podróży do bieguna Północnego, obejmuje cały kwartał czwarty zeszłego roku, którego samo przesłanie kosztować będzie kop. 70.

Korespondentce z Białokamienia donosimy, że zatracony numer Tygodnika prześlemy, ale do tego koniecznie jest potrzebny dokładny adres.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Февраля 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Dodatek.

Opis do N-ru 9.

N. 1—2. Ubrania wizytowe.

N. 1. Suknia z długą draperyą.

Przy sukni wełnianej w szerokie pasy, część spódnicy widoczną z pod draperyi pokrywa materyał drobno splisowany. Draperya składa się z brytów prostych; górną część prawego bocznego brzega fałduje się i wszywa w pasek od spódnicy, zarówno jak i górny brzeg z przodu i z boku. Tylną część draperyi w górze i brzeg jej boczny lewy marszczy się ściśle, wszywa w listewkę i przypina na haftki pod baskiną stanika. Jak to widzimy na ryc. 1, część dolnego brzegu stanowi brzeg boczny. Plastron przy staniku, kołnierz i mankiety są aksamitne. Kapotka z materyi jedwabnej ubrana wstążką, ma rondko naszyte dżetem albo paciorkami.

N. 2. Sukuia ze spódnicą ułożoną jako draperya.

Na spodniej jedwabnej spódnicy, zwierzchnia spódnica i stanik są z pluszu bronzowego, a szeroki plisowany żabot, poprzecznie fałdowany stojący kołnierzyk i krawatka z żółtawej surah. Spódnica tylko z przodu w lekką draperyę podpięta, z tyłu suto zmarszczona i luźno spuszczona, z boków ozdobiona jest dużemi metalowemi lub szmuklerskiemi guzikami. Luźny, fałdowany żabot z jednej strony jest przyszyty, z drugiej na haftki przypinany do podszewkowych, materya pokrytych przodów stanika, zapinanych na środku. Zwierzchnie, gładko przylegające, materyą podszyte pluszowe przody przypięte są nieznacznie na brzegach żabotu. Okrągły kastorowy kapelusz, na brzegu rondka naszyty paciorkami, ubrany jest strusiemi piórami.

N. 3—4. Kapelusz koronkowy dla starszych dam.

Fason kapelusza stanowi kilka, jeden na drugi położonych pasków sztywnego tiulu, mających 38 cent. przedniej, 40 tylnej długości, 9 cent. środkowej, a 7½ brzeżnej szerokości, którego brzegi poprzeczne złączone są paskiem 3 cent. szerokim a 12 długim. Pasek pokrywa się gładko aksamitem czarnym lub oliwkowym, a rondko aksamitem marszczonym i podszywa materyą. Pomiędzy rondko i pasek tylny wszywa się namarszczone denko z koronkowego materyału. Rondko pokryć zwierzchu trochę bufiasto 54 cent. długim kawałkiem 19 cent. szerokiej koronki chantilly, obróconej ząbkami do brzegu rondka. Drugi kawałek koronki, 225 cent. długi, obrócony ząbkami do dołu, pokrywa trochę bufiasto denko i stanowi barbkę, przepiętą z boków rozetkami dżetowemi, które zdobią także brzeg rondka. Z przodu i z tyłu upięte na kapeluszu kokardy ze wstążki 6 cent. szerokiej, tego co aksamit koloru.

N. 5. Szlak do wyszycia na siatce robionej fabrycznie.

Na siatce fabrycznej żółtawego koloru, deseń wyszyć zwykłym ściegiem cerowanym, filozelą, która stosownie do wielkości oczek siatki jest 2, 3 lub więcej nitkowa. Kolor filozeli dobrać można podług gustu, a szlak wyszyty służyć może na wstawkę do serwet, rolet, lub do zesuwanych firanek. Za wzór do wyszycia służyć może każdy deseń krzyżowy odpowiedniej szerokości.

N. 6—7. Serweta. Haft kolorowy na płótnie. Próbki roboty na ryc. 17 i 18, dopełnienie deseniu na arkuszu z krojami fig. 74.

Model serwety trzymającej 74 cent. w kwadrat, haftowany był na mocnem niezbyt cienkiem płótnie bawełną albo jedwabiami wypróbowanemi do prania. Ryc. 7 przedstawia część deseniu w naturalnej wielkości i wskazuje rodzaje ściegów, użytych do haftu; narożnik podany na fig. 74 trzeba przyłączyć do szlaku podług gwiazdek i punktów. Haft robiony był kolorem bronzowym, ponsowym i zielonym jedwabiami kordonkowemi do prania. Kwiat gwiazdzisty stanowił środek szlaku z każdej strony serwetki; liście kwiatu robić ściegiem płaskim kolorem ponsowym z konturami zielonemi, naprzemian z liśćmi mającemi kontury bronzowe, a środki zapełnione skośnemi paskami ściegów krzyżowanych. Próbkę powiększoną tego ściegu, który użyty jest także w kielichach tulipanu i w kwiatach narożnika, dajemy na ryc. 18, a próbkę także powiększoną do obwodzenia konturów ściegiem skośnym dzierganym, na ryc. 17. Pod ścieg krzyżowany daje się najpierw proste albo skośne podłożenie z nitek zielonych, na których przerabia się następnie ścieg krzyżowany, raz od ręki lewej do prawej, drugi raz od prawej do lewej. Stosownie do rzadszego lub gęstszego przesnucia nitek spodnich tło będzie więcej lub mniej przeglądać między haftem. Ścieg ten wiele zyska na piękności gdy połączymy w nim parę kolorów lub cieni, urozmaicając ich układ sposobem wskazanym na ryc. 7. W wązkich szlaczkach brzeżnych, środkowy ponsowy ścieg krzyżowany zakończony jest z obydwóch stron trzema rzędami ściegów sznureczkowych, robionych kolorem zielonym, ponsowym i bronzowym. Nazewnątrz dodane są tłuste ząbki, dziergane naprzemian kolorem ponsowym i zielonym, oraz ponsowym i bronzowym, któremi zarazem przyrobiona jest koronka niciana, 7 cent. szeroka.

N. 8. Lambrekina do drzwi albo do okna. Aplikacya i łatwy haft. Zobaczyć szlak brzeżny na r. 33 w N. 10.

N. 1—2. Ubrania wizytowe.

N. 1. Suknia z długą draperyą. N. 2. Suknia ze spódnicą podpiętą w draperyę.

Deseń kwadratów i szlaczków środkowych na dodatku z krojami fig. 29 i 30.

Na modelu lambrekina miała 54 cent. długości oprócz frendzli 12—15 cent. długiej; szerokość lambrekiny dopasować trzeba do szerokości drzwi lub okna. Na ryc. 33 w N. 10 dajemy w naturalnej wielkości deseń szlaków brzeżnych, na fig. 29 deseń węższego szlaku, przedzielającego kwadraty środkowe, a na fig. 30 deseń ¼ części kwadratu. Na tle czerwonem aksamitnem ładnie odbija aplikacya z materyi białej i żółtej; w narożnikach kwadratów użyta na aplikacyę materya niebieska i zielona. Kontury obwiedzione są trzema nitkami złotemi, przeszytemi przez wierzch jedwabiem żółtym. Wąsy są z cienkiego złotego sznureczka, przyszytego krytemi ściegami. Wązki szlaczek dodany z brzegu przy dolnym szlaku lambrekiny, zakończony z brzegów sznureczkiem złotym, zapełniają poprzecznie i podłużnie układane nitki złote, jedne przyszyte krytemi ściegami jedwabiu, drugie przeszywane przez wierzch ściegami poprzecznemi i ozdobione długim skośnym ściegiem złotym. Pojedyńcze i w grupy złączone ściegi zdobiące proste pasy i duże arabeskowe figury wyszyć grubym kordonkiem zielonym, a przedłużone czworokąty w środku figur haftować ściegiem płaskim, kordonkiem żółtym. W gwiazdach kwadratów i w szlakach brzeżnych jaśniejszy cień na deseniu oznacza materyę białą, ciemniejszy aplikacyę z materyi żółtej. Kwiaty i łodygi w narożnikach kwadratów są blado niebieskie a liście arabeskowe zielone.

N. 13. Poduszka malowana do kanapy. Deseń na dodatku z krojami fig. 73.

Zwierzchnie pokrycie poduszki stanowi szare płótno gobelinowe, na którem deseń malowany jest farbą olejną, a kontury obwiedzione sznureczkiem złotym. Arabeska środkowa jest niebieska z paskami czerwono bronzowemi, też same kolory użyte są do arabeskowych liści przy tarczach herbowych; te ostatnie malowane są orchą żółtą i farbą czarną. Herby fantazyjne można zastąpić herbem prawdziwym, malowanym właściwemi kolorami. Podszycie i bufa wkoło przedzielana jedwabnemi sznurami, są z pluszu niebieskiego; pompony i torsadka po brzegach płótna z włóczki w kolorach malowania.

N. 15. Fartuszek dla dziewczynki lat 7—9. Krój na dodatku z formami N. XII, f. 66.

Model fartuszka z płótna w kratkę białą i niebieską, ozdobiony był wązkiemi stębnowanemi pliskami z satynki szafirowej i oszyty kolorową szydełkową koronką, do której wzór dobrać można w Tygodniku Mód z roku 1885.

N. 16. Serweta długa na środek stołu. Haft sznureczkowy i wstawki wywodzone na tiulu. Próbka wywodzenia w N. 10 na ryc. 32.

Serweta mająca 172 cent. długości a 35 cent. szerokości, oprócz wstawki z brzegów, haftowana była na cienkiem białem płótnie ściegiem sznureczkowym bawełną ponsową. Wstawkę brzeżną, odrobioną podług próbki r. 32 w N. 10, trzeba obrąbić z brzegu; we wstawkach środkowych brzegi mocno przyszyte idą pod spód.

N. 19—20. Ubranko z różami.

Owal podłużny ze sztywnego tiulu, mający 12 cent. długości, 5 środkowej a 2 brzeżnej szerokości, stanowi podstawę ubranka, na której upięte jest ze wstążki aksamitnej 6½ cent. szerokiej, mirtowego koloru, 5 pukli 10 cent. długich i koniec 11 c. długi, złączonych długim węzłem. Do przodu pomiędzy fałdami koronki jedwabnej 10 cent. szerokiej (której potrzeba 130 cent.) wpięta jest gałązka z róż i liści.

N. 21. Ubranie strojne z gorsecikowym stanikiem.

Przy sukni z blado niebieskiego atłasu ze spódnicą à la paysanne, odznacza się zgrabnym krojem stanik, gorsecikowo podcięty z tyłu i z przodu i dopełniony szmizetką marszczoną, z przodu podłużnie wyciętą, z tyłu wszytą

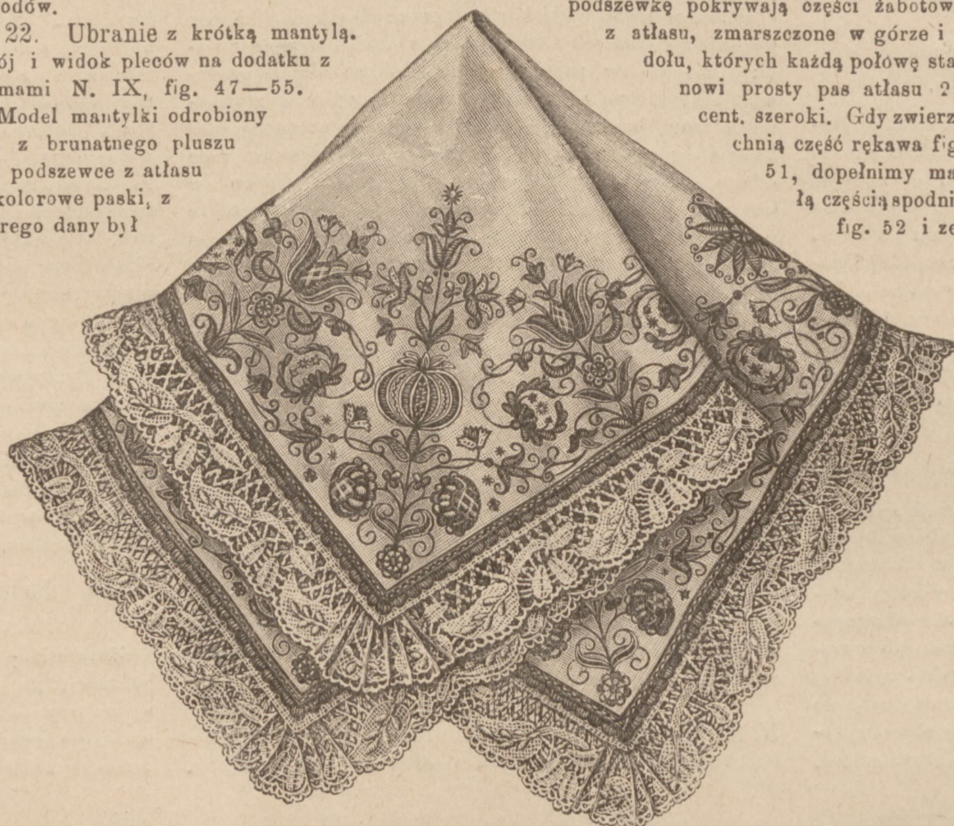


N. 3. Kapelusz koronkowy dla dam starszych. Zobaczyć przód na ryc. 4.

w kołnierzyk stojący. Wykrój ogarnirowany jest fałdowaną, jasno niebieską koronką, przechodzącą z tyłu poniżej kołnierza. Z przodu szmizetka dochodzi aż do brzegu bawetu i wygląda z pod sznurowania gorsecikowych przodów.

N. 22. Ubranie z krótką mantylą. Krój i widok pleców na dodatku z formami N. IX, fig. 47—55.

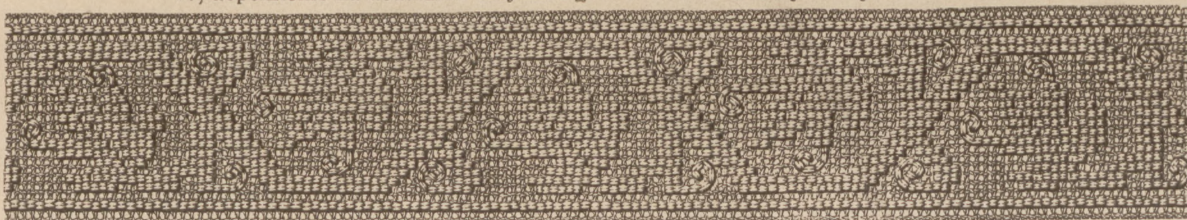
Model mantylki odrobiony był z brunatnego pluszu na podszewce z atłasu w kolorowe paski, z którego dany był także marszczony żabot. Podszewkę lekko podwatować. Podszewkę pod przody kraje się podług fig. 47 i 48 w dwóch częściach, a zwierzchni materyał w jednym ciągu podług fig. 49. Gdy w przodach podszewki zaszyjemy po jednej zaszewce, a w baskinie założymy po dwie fałdki, trzeba zwierzchni materyał przymarszczyć na ramionach, pąsując gwiazdką do gwiazdki i dwukropkiem do dwukropka, a na wcięciu w pasie zaszyć w dwie fałdy. Od *a* do dołu przednie brzegi zwierzchniego materyału podwija się 2 cent. szeroko pod spód. O ile wierzchy przodów nie schodzą się z sobą, podszewkę pokrywają części żabotowe z atłasu, zmarszczone w górze i u dołu, których każdą połowę stanowi prosty pas atłasu 23 cent. szeroki. Gdy zwierzchnią część rękawa fig. 51, dopełnimy małą częścią spodnią fig. 52 i zeszyjemy mantylę na ramionach, trzeba wszyć rękaw od *g* przez *d* do *h*. Dolny brzeg zwierzchniej części rękawa razem z dolnym brzegiem pleców podwija się do spodu, od *l* literą *g* do *g*. W zgrabny kapturek daje się atłasową podszewkę, a po złożeniu fałd wszywa go się w kołnierz od *c* do *e*; dolny róg



N. 6. Serweta. Haft kolorowy na płótnie. Zobaczyć część deseniu na ryc. 17, dopełnienie na dodatku z krojami fig. 74. Próbki roboty na ryc. 17 i 18.



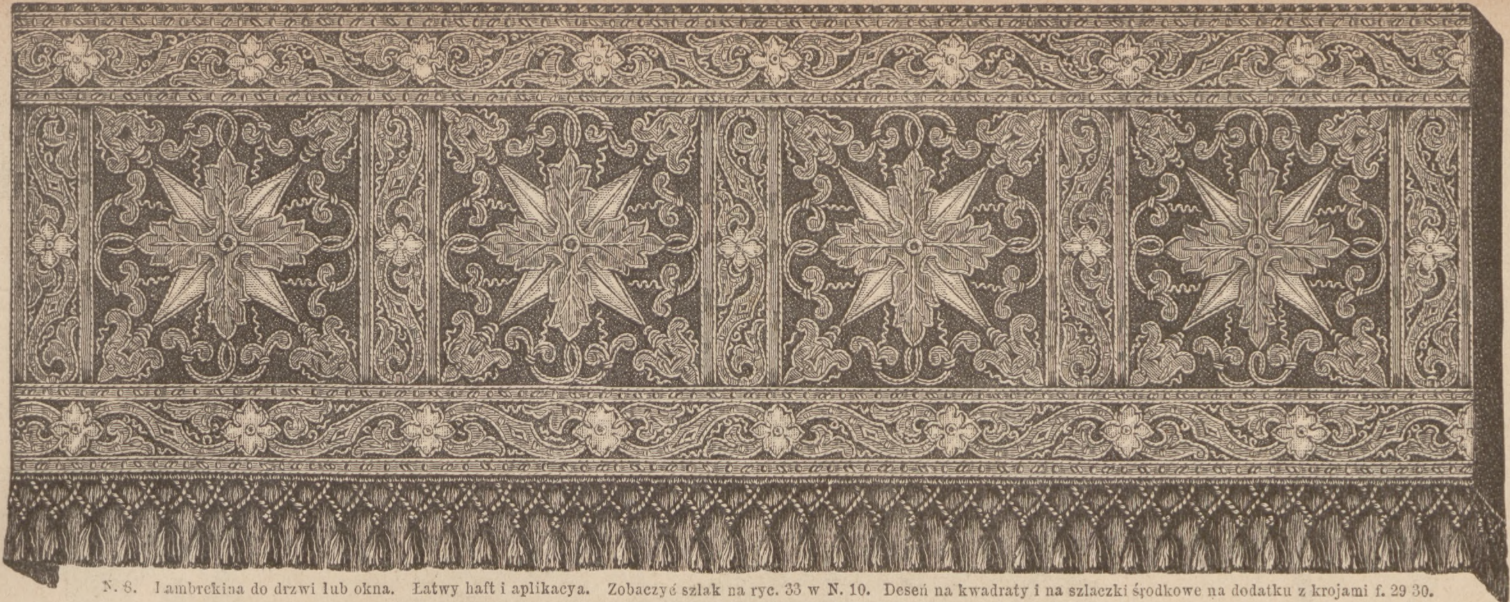
N. 4. Kapelusz koronkowy dla starszych dam. Zobaczyć tył kapelusza na ryc. 3.



N. 5. Szlak do wyszycia na siatce robionej fabrycznie.

N. 7. Deseń do ryc. 6. Haft kolorowy na płótnie. Próbka roboty konturów i zapełniania tła w figurach ryc. 17 i 18. Dopełnienie deseniu fig. 74.

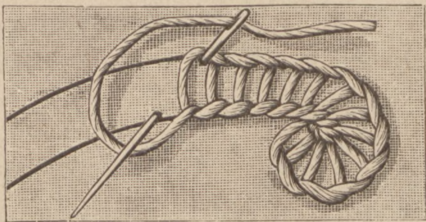
kapturka trzeba nieznacznie przyszyć do mantylki. Szerokość mankietów oznaczona jest cienką linijką na fig. 51 i 52. Mantyla zapina się z przodu na kryte haftki, a wcięcie w pasie nadaje jej taśma elastyczna, 15 cent. długa a 2 szeroka, pokryta marszczonym atlasem, którą do przodów przyszywa się przy *m* a do pleców przy *n*. Drugą wstążkę przyszywa się od spodu na wcięciu w stanie do pleców i zapina z przodu, nakoniec wstążki 6 c. szerokie brunatne atlasowe, przyszyte są zwierzchu do przodów przy *m*; przeprowadzone naprzód i na 29 c. od końcy mantyli, złączone są kokardą.



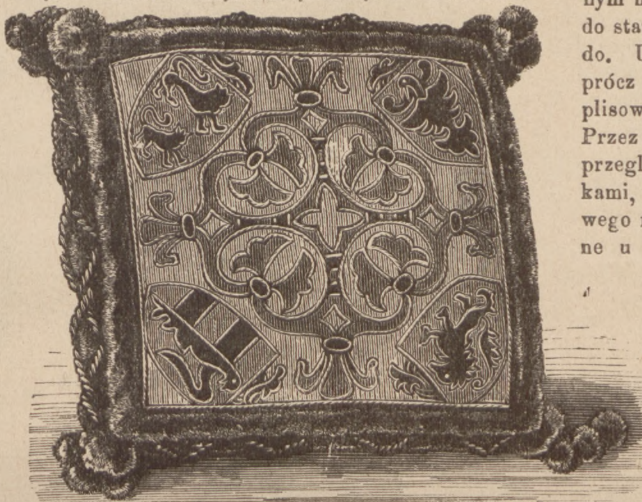
N. 8. Lambrekina do drzwi lub okna. Łatwy haft i aplikacya. Zobaczyć szlak na ryc. 33 w N. 10. Deseń na kwadraty i na szlaczki środkowe na dodatku z krojami f. 29 30.



N. 9. Krótki płaszczyk dla dziecka. Zobaczyć tył płaszczyka bez pelеryny na ryc. 10; krój i opis na dodatku z formami N. II, fig. 12—16.



N. 11. Powiększona próbka ściegu łańcuszkowego węgierskiego do ryc. 22 w N. 10. Zobaczyć także ryc. 12 i ryc. 23 i 24 w N. 10.



N. 13. Poduszka do kanapy. Malowanie olejne na płótnie. Deseń na f. 73.



N. 10. Krótki płaszczyk dla dziecka. Przód na ryc. 9. Krój i opis N. II, fig. 12—16.

N. 23 25. Ubranie staników. Paletocikowe staniczki z kamizelkowym albo żabotowym garniturkiem, są teraz najmodniejsze; gładkie z przodu zapinane staniki mało są używane, a nigdy do strojniejszego salonowego ubrania. Rękawy są także odpowiednio do staników ubierane, już to przez całą długość już od łokcia otwarte i dopełnione częściami wstawionemi, gładkiemi albo bufowanemi, ozdobionemi haftem perełkowym, przepięciami i t. p. Ryc. 23 przedstawia zgrabny kaftaniczkowy aksamitny staniczek, otwarty z przodu i dopełniony marszczoną częścią kamizelkową z jasnej surah, z której są także części wstawione w rękawy. Haft perełkowy zdobiący kamizelkę i szlaczki naszyte na rękawach, robione są oddzielnie na tiulu. Na ryc. 24 podajemy stanik kaftaniczkowy, ozdobiony pasmanteryą dżetową i sznurem szenelowym, dopełniany marszczonym żabotem gazowym, spuszczonym u dołu w sutą bufę. Rękawy u dołu rozcięte dopełnia także bufa gazowa. Stanik podszewkowy z boku zapinany, ryc. 25, pokryty jest z przodu razem z baskiną plisowanym muślinem różowym, do stanika z pluszu bordo. U dołu dodane jest prócz tego do stanika plisowanie z muślinu. Przez otwory rękawów przegląda przepięte patkami, plisowanie z różowego muślinu, zakończone u dołu bufką i falbanką. Stanik zapięty w górze jedną agrafą z jedwabnego sznura.



N. 14. Szlafrok ranny, ozdobiony haftem węgierskim. Krój i opis podług N. III na dodatku z krojami.

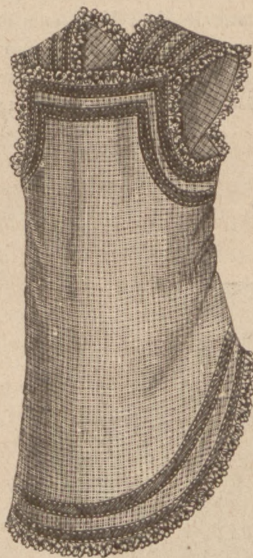


N. 12. Haft łańcuszkowy węgierski do ryc. 22 w N. 10. Próbka roboty na ryc. 11. Deseń szlaku na fig. 75.

Opis do N-ru 10.

N. 1. Koronka wełniana ze szenelą. Robota na klockach z 50 nitkami, napięcie deseniu patrz na arkuszu fig. 72.

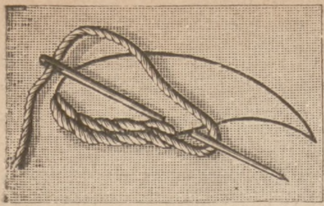
Dla czytelniczek umiejących robotę koronki na klockach, podajemy ładny wzór w nowym rodzaju; jest to koronka wełniana ozdobiona szenelą, odpowiednia do okryć, su-



N. 15. Fartuszek dla dziewczynki lat 7—9. Forma na dodatku z krojami N. XII, fig. 66.



N. 16. Długa serweta na środek stołu. Haft sznureczkowy i wstawki wywodzone na tiulu. Zobaczyć próbkę wstawki na ryc. 32 w N. 10.



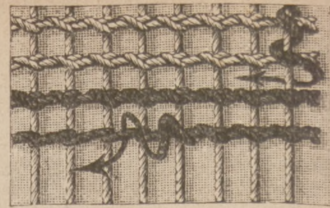
N. 17. Próbka ściegu do obwodzenia konturów przy hafcie kolorowym do ryc. 6—7.

kien i t. p. Sznela i cieniutka włóczka powinny być jednego koloru, pierwsza z nich może być przerabiana złotem. Zaczynając robotę podług



N. 19. Ubranko z różami. Zobaczyć także ryc. 20.

wadzenie nitek szuelowych wskazują na fig. 72 linie podwójne; gdzie sznela się krzyżuje, nitki



N. 18. Próbka ściegu do zapełniania tła w hafcie ryc. 6 i 7.



N. 21. Suknia z gorsecikowym stanikiem.



N. 20. Ubranko z różami do ryc. 19.



N. 22. Ubranie z krótką mantylą. Krój i widok pleców na dodatku z krojami N. IX, fig. 47—55.

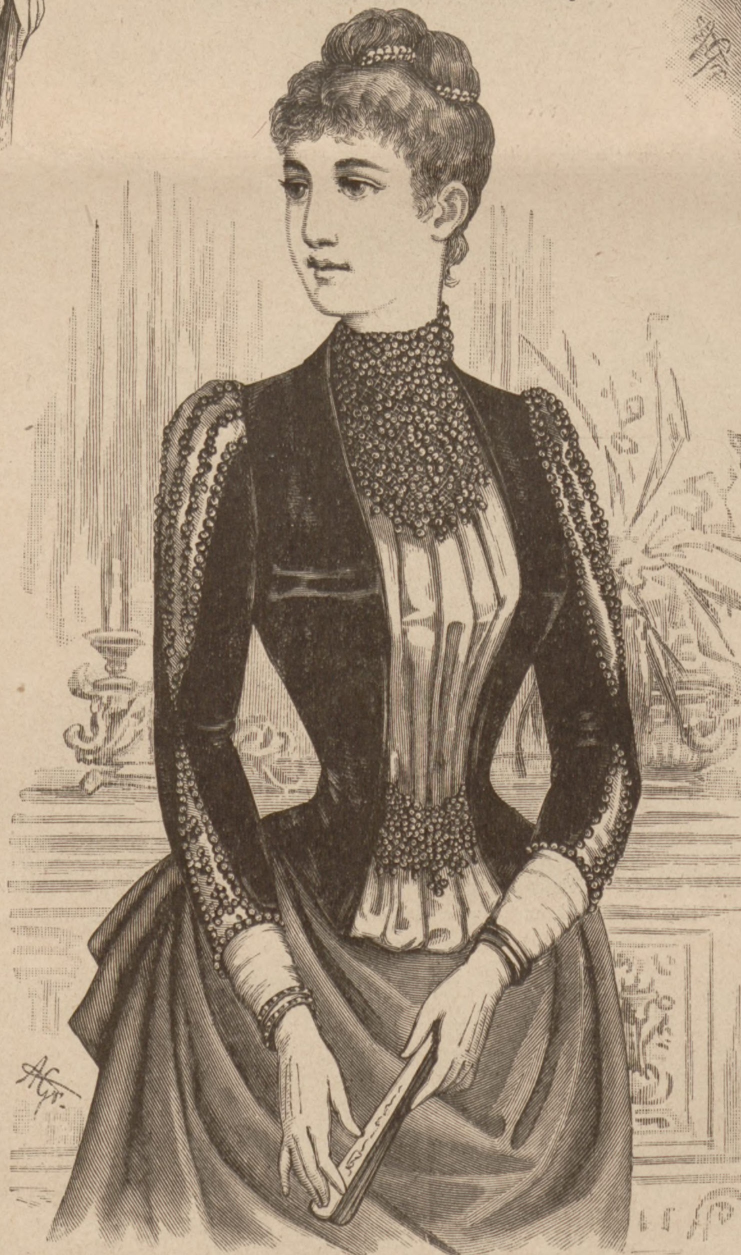
fig. 72 w punkcie I, II i IV daje się po cztery nitki na klockach, zaś w punkcie III i V po ośm nitek, w trzech punktach oznaczonych krzyżykami z brzegu dolnego daje się po 2 nitki, gwiazdka zaś oznacza założenie dwunastu nitek. Kierunek i pro-

na klockach rozdzielają się dla wsunięcia w środek szneli, poczem znowu się łączą, stosownie do deseniu.

(*D. n.*)



N. 24. Stanik kaftaniczkowy z żabotem gazowym. Zobaczyć także ryc. 23 i 25.



N. 23. Ubranie z kaftaniczkowym stanikiem. Zobaczyć także fig. 59 i 60.



N. 25. Stanik kaftaniczkowy z żabotem muślinowym. Zobaczyć także ryc. 23 i 24.